

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. **Kraków, 1 czerwca 1907.** **Nr. 22.**

Zemsta oszukanego męża.

(Treść na stronie 2).



Zemsta oszukanego męża.

(Do illustracyi tytułowej.)

Miłość, ten najpotężniejszy czynnik w życiu ludzkiem, bywa bardzo często pobudką do czynów bohaterskich, budzących zawsze i wszędzie podziw, ale niekiedy znów staje się motorem zbrodni, wobec których najsurowszy sędzia czuje się niejako rozbrojonym. Nawet prawodawstwa niektórych państw, jak np. Francyi, uwzględniają ten moment psychiczny, zapewniając mężowi bezkarność, gdy schwytawszy żonę na gorącym uczynku niewierności, zabije jej uwodziciela w uniesieniu. Opinia publiczna w takich razach zwykła także brać stronę męża, dotkniętego w swych najświętszych uczuciach, bo kradzież czci każdego człowieka jest chyba największą zbrodnią, jakiej można się dopuścić. Rzecz prosta, że ten kto uwiódł cudzą żonę, w pierwszej linii naraża się na skutki swego postępowania i że jego najczęściej dotyka zemsta poszkodowanego.

Podobny wypadek zaszedł kilka dni temu w Warszawie, a nasza rycina tytułowa odtwarza jego przebieg.

Do pokojów gościnnych na rogu ulic: Złotej i Zgoda zgłosił się w ubiegłym tygodniu przejezdny i zameldowawszy się jako 26 letni Borys Boninowicz, starozakonny, fabrykant z Wilna, zajął jeden z numerów. Wkrótce potem zjawiła się tamże młoda osoba, która podała, że nazywa się Marya Demjanowiczowa, jedzie z Wilna i jest żoną stacyonowanego tam sztabsrotmistrza żandarmeryi. Wzięła numer zaraz obok Boninowicza.

Młoda para, która na służbie hotelowej czyniła wrażenie zakochanych, tylko jeden dzień spędziła w spokoju. Już nazajutrz po jej przybyciu, około g. 1-ej w nocy zadzwonił ktoś ostro do bramy domu, gdzie mieszczą się pokoje gościnne. Gdy bramę otwarto, pokazało się, że na progu stoi oficer żandarmeryi w mundurze. Zażądał on, aby mu pokazano listę nocujących gości. Ledwie rzucił na nią okiem i ujrzał nazwisko Boninowicza, twarz zapłonęła mu gniewem i krzyknął w pasyi po rosyjsku: „Etot mierzawiec zdieś!“ (Ten łotr tutaj), poczem kazał się zaprowadzić do numeru, przezeń zajmowanego.

Gdy już stanął pod drzwiami owego numeru, polecił służącemu zapukać i odpowiedzieć na zapytanie: „Telegram“. Skoro tylko Boninowicz drzwi uchylił, oficer wtargnął do pokoju i nie mówiąc ani słowa, strzelił doń siedm razy z rewolweru...

Boninowicz upadł na ziemię i w parę minut skonał. Usłyszawszy strzały w sąsiednim pokoju, Demjanowiczowa wybiegła w bieliźnie, lecz ujrzawszy męża, uciekła do siebie i popadła w omdlenie.

Zabójca miał zamiar oddalić się po dokonaniu samosądu. Służba hotelowa zatrzymała go jednak do chwili, aż przybył oficer z komendy placu, który odebrawszy mu szablę aresztował go i spisał na miejscu protokół. Po spisaniu protokółu opieczętowano pokój zajmowany przez Boninowicza, oraz zawiadomiono telegraficznie rodzinę o jego tragicznym skonie.

Śledztwo sądowe wyjaśni niezawodnie bliżej motywy tego zabójstwa, dokonanego przez męża, który zemścił się za swoją cześć naruszoną.



Za chlebem: Wychodźcy, wysiadający na dworcu towarzystwa przewozowego »Hamburg-Amerika Linie«.



»Za chlebem«: Żydzi galicyjscy przed wyjazdem do Ameryki w Hamburgu.



»Za chlebem«: Grupa galicyjskich wychodźców w Hamburgu.



»Za chlebem«: Wychodźcy przed udaniem się na statek.

Za chlebem.

Co roku dziesiątki tysięcy naszych rodaków wędruje za Ocean, szukając tam chleba, o który im tak trudno we własnej ojczyźnie.

Warunki, w jakich emigranci musieli dawniej odbywać uciążliwą podróż, były dawniej wprost straszne. Napchani jak śledzie w pociągach pruskich kolei, a następnie jako podpokładowi pasażerowie statków, traktowani tam i tu nie jak ludzie, lecz jak żywy towar — musieli ciężkie chwile przechodzić, zanim wreszcie wstąpili na ziemię amerykańską.

Teraz stosunki zmieniły się cokolwiek na lepsze, a mianowicie z tego powodu, że konkurujące ze sobą towarzystwa przewozowe starają się swoim pasażerom za te same pieniądze zapewnić lepsze warunki przejazdu.

Między innemi towarzystwo „Hamburg-Amerika Linie“ poczyniło największy postęp w tym kierunku, a do niego odnoszą się ciekawe zdjęcia, jakie podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma.

Pierwsze z nich przedstawia przybycie emigrantów na dworzec kolejowy tegoż towarzystwa w Hamburgu, znajdujący się w bliskości przystani. Na następnem zdjęciu oglądamy grupę wychodźców,

w których nietrudno rozpoznać typy z zachodniej Galicyi.

Dalej znów widzimy grupę żydów galicyjskich. Ciekawa jest okoliczność, że żydówki zamężne, które u nas w niższych sferach noszą peruki, muszą podróż za Ocean odbywać bez tych peruk, a to ze względów sanitarnych. Na tem zdjęciu trzyma właśnie jedna z tych żydówek taką perukę w ręku.

Czwarte zdjęcie przedstawia grupę emigrantów, ustawionych na podworcu hali emigracyjnej i gotowych do odmarszu na statek. Są oni na nim zgromadzeni już na 24 godzin przed podniesieniem kotwicy.

Ostatnie wreszcie zdjęcie daje obraz pokładu w chwili, gdy widać z niego ląd upragniony. Tutaj jednak nie kończą się utrapienia pasażerów międzypokładowych. O ile bowiem formalności przy lądowaniu dla podróżnych, jadących pierwszą lub drugą klasą są minimalne, o tyle znów podróżni trzeciej klasy są traktowani przez władze amerykańskie bardzo surowo.

Stany zjednoczone mają dosyć emigracyi europejskiej i starają się ograniczyć ją na wszelki sposób. Każdy z emigrantów musi być zupełnie zdrów, posiadać odpowiednią kwotę gotówki i nie być związanym jakimś z góry zawartym kontraktem co do obowiązku pracy lub służby na terytoryum Stanów.

Dopiero wówczas, gdy wszyscy pasażerowie III klasy danego statku zostaną w ten skrupulatny sposób skontrolowani na „Elis island“ pod New Jorkiem, wolno im na ląd wysiąść. Ci zaś z nich, którzyby nie wypełnili jednego z powyższych warunków, zostają z powrotem „deportowani“ do Europy, tj. musi ich własnym kosztem odwieźć towarzystwo, które ich przywiozło i nie wolno mu za to żądać jakiejkolwiek zapłaty.



»Za chlebem«: Statek z wychodźcami, przybijający do brzegów amerykańskich.

Ze zwierzyńca Hagenbecka w Hamburgu.

Leży to już w naturze ludzkiej, że nietylko dzieci, ale nawet wszystkie młode zwierzęta wzbudzają naszą sympatyę właśnie przez to, że są słabe i że potrzebują opieki. Nikt zaś więcej nie odczuwa tej sympatyi, jak właśnie same dzieci, które przepadają za zabawą, czy to z małymi pieskami, lub kotkami albo też z każdym innym rodzajem małych zwierząt.

Rzadko jednak daje się widzieć taki obrazek, jak ten, który dołączamy do niniejszego artykuliku. Dwoje dzieci w zwierzyńcu Hagenbecka w Hamburgu, firmy jak wiadomo światowej na punkcie importu i hodowli zwierząt egzotycznych, bawi się w najlepsze z młodymi lewkami. Przyszli królowie zwierząt są do roku bardzo potulni. Potem dopiero budzi się w nich poczucie siły, a gniew wyrasta w dzikość.

Ten sam lewek, który tak łaskawie bawi się z dziećmi, już za kilka miesięcy gotów je poszarpać, gdyby się doń zbliżyły.

Największe ze zwierząt lądowych, słoń, należy bezsprzecznie do najwięcej inteligentnych i sympatycznych.

Bardzo jednak rzadko zdarza się widzieć w zwierzyńcach młode słonie, ssące swe matki, gdyż słoń rozmnaża się w niewoli tylko wyjątkowo. Hagenbeckowi udało się jednak przyjść w posiadanie dwóch słonic wraz z małymi słoniętami, liczącemi zaledwie po kilka miesięcy życia.

Są to bardzo pocieszne zwierzątka — jak to załączona rycina wskazuje — które pomimo swego młodocianego wieku, posiadają wszystkie cechy zwierząt dorosłych i są zdaniem swych dozorców, niezwykle sprytne. Szczególniej ma być pocieszną scena, gdy słonica robi toaletę swego malca, myjąc go starannie za pomocą wody, którą wylewa nań z trąby.

Trąba też zastępuje miejsce ręcznika i grzebienia. Małe słonięta zachowują się przy tem podobnie jak dzieci, są krnąbrne, ale jedno uderzenie trąbą matczyną przyprowadza je do porządku.



Ze zwierzyńca Hagenbecka w Hamburgu: Słonice z małymi słoniętami.

Pierwsza Polska Szkoła Operowa.

Do illustracyi na stronie 9).

Dotkliwie dawał się odczuwać w Krakowie brak szkoły, kształcącej zawodowo w śpiewie operowym. Co roku znaczny zastęp naszej młodzieży opuszczał kraj, aby za granicą przygotować się do karyery operowej. Jednak tylko mała garstka powracała z dodatnimi rezultatami, często bowiem padali ofiarą szarlataneryi zamorskich „mäestrów“, lub też znowu wygórowane ceny nie pozwalały im dokończyć nauki. Marnowały się skutkiem tego talenty, rodziło się zniechęcenie i obojętność do pracy i życia.

Tę dotkliwie dającą się odczuwać lukę w polskiem szkolnictwie muzycznem, wypełnił prof. Juliusz Marso przez założenie „Szkoły operowej“.

Długoletnia, wydatna praca kierownika tej szkoły, znakomite rezultaty, jakie dotychczas osięgał ze swymi uczniami — dają rękojmię, że „Szkoła operowa“ będzie fachowo prowadzoną, że młodzież nasza znajdzie w kraju to, po co musiała dawniej udawać się za granicę.

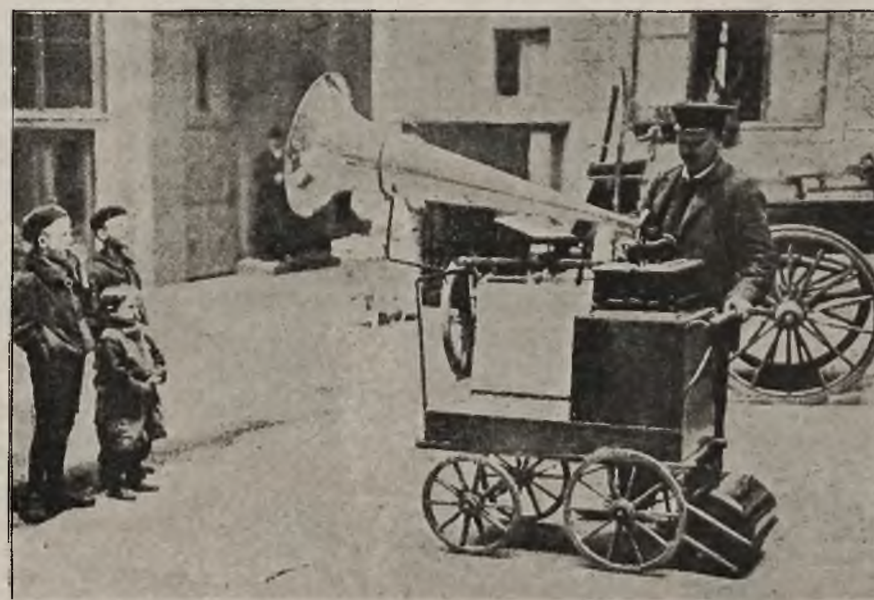
Na zakończenie bieżącego roku szkolnego dano w teatrze miejskim „Halkę“ i przedstawienie to, na ogólne żądanie powtórzono. Podnieść należy z uznaniem już sam wybór opery — pierwsza polska szkoła operowa rozpoczęła swe przedstawienia doroczne najwięcej rdzennie polską operą. Wykonanie „Halki“ przyniosło zaszczyt tak kierownikowi, prof. Marso, jak i występującym. Wszyscy śpiewacy odznaczają się doskonałą metodą, pięknymi głosami i wcale już wyrobioną grą aktorską. Wystarczy stwierdzić, że przedstawienie to nie robiło wrażenia uczniowskiego, lecz dobrze zgranego zespołu. Panna Antoniewska ma przed sobą bezsprzecznie wielką karyerę — jest to śpiewaczka już dziś doskonała — to samo odnosi się i do p. Kozłowskiego, tenora bohaterskiego, któregobyśmy radzi byli usłyszeć w jakiej wagnerowskiej partyi. Pan Zakrzewski ma bardzo szlachetny głos barytonowy i znakomitą dykcyę, ładnym lirycznym barytonem rozporządza p. Dutkiewicz, lecz musi jeszcze nad wymową popracować, p. Niziniecka była milutką Zofią, zaś p. Issakowicz grał i śpiewał z wielkiem zacięciem.

Chóry były tak świetne, jakich w Krakowie już lata nie słyszeliśmy, a brały w nich współudział uczennice prof. Marso i chór akademicki. Orkiestra pod batutą p. Hocka spisała się bez zarzutu. Mogliśmy znowu potwierdzić, wyrobione zresztą już zdanie, jak znakomitego muzyka posiada Kraków w p. Hocku.

Wszyscy występujący są już poangażowani. Widzimy tedy, że szkoła ta, oprócz moralnego zadowolenia, zapewnia i byt swym uczniom.



Ze zwierzyńca Hagenbecka w Hamburgu: Dzieci bawiące się młodymi lwami.



Postęp w dziedzinie muzyki: Gramofon na wózku ręcznym.
(Do artykułu na str. 13).

Z krainy faraonów.

W. Brytania trzyma się oddawna wypróbowanego systemu politycznego. Tam, gdzie tylko się da, używa siły, aby powiększyć swój wpływ, urok swej potęgi państwowej, ciągnąć zyski z krajów, podlegających jej rządom bezpośrednim, lub pośrednim, jednem słowem czyni wszystko, aby „business“ szedł i to w sposób najkorzystniejszy. Jedna przecież zaleta różni grubo Anglików od kolonizatorów w guście np. Niemców. Anglicy objąwszy jakiś kraj w posiadanie, starają się — co im rozsądek nakazuje — podnieść go pod każdym względem kulturnie, aby módz później ze zwiększonych źródeł danego kraju, ciągnąć tem większe korzyści.

Tak też postępowali i w Egipcie, który chociaż nominatywnie posiada swego władcę, Kedywa, wasala Turcyi, już ćwierć wieku prawie zostaje „de facto“ pod zarządem dyplomatycznego rezydenta angielskiego w Kairze.

Takim rezydentem był przez długie lata lord Cromer, którego podobiznę w otoczeniu żegnających go przedstawicieli państw zagranicznych. akredytowanych w stolicy Egiptu, podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma.

Lord Cromer odznaczał się wielką znajomością stosunków miejscowych, a cieszył się rzadką sympatyą swoich kolegów z ciała dyplomatycznego, bo umiał uwzględniać nie tylko interesy poddanych jego królewskiej mości Edwarda VII-go.

Mieszkańcy zaś odwiecznej krainy faraonów mają mu bardzo dużo do zawdzięczenia. Uporządkował on finanse i bezpieczeństwo publiczne Egiptu, przeprowadził budowę kilku linij kolejowych i kosztem kilkunastu milionów franków postarał się o zbudowanie wielkiej tamy na Nilu, która, powstrzymując rozlew rzeki i kierując jej wody w sposób racyonalny, użyźnia dolinę „ojca“ rzek afrykańskich. Przytem sądownictwo i administracya egipska zostały zreformowane i postawione na wysokości, jaka odpowiada pojęciom europejskim.

Następcą lorda Cromera został sir Eldon Gorst, który będzie miał znacznie ułatwione działanie, skutkiem tego, że lord Cromer wyrównał mu drogi na tak trudnem stanowisku w Egipcie, gdzie skutkiem kanału Suezkiego koliduje tyle interesów międzynarodowych.



Z krainy faraonów: Przedstawiciele ciała dyplomatycznego, żegnający lorda Cromera przy jego odjeździe z Egiptu: 1. Lord Cromer. 2. Hr. Bolesta Koziebrodzki (Autro-Węgry). 3. Hr. Wachmeister (Szwecya). 4. Van Does de Willebois (Niderlandy). 5. Malmusi (Włochy). 6. Br. Gaiffier (Belgia). 7. Philon (Grecya). 8. Hr. Zogheb (Portugalia). 9. Mirża Ali Asghar Khan (Persya). 10. Hr. Bernstorff (Niemcy). 11. Smirnow (Rosya). 12. Pacliano (Rumunia).

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

25 Ciąg dalszy

— To nie są żarty, czysta prawda... i tylko ze względu na naszą przyjaźń, Pawle Pawłowiczu tę sprawę umorzyłem i końce w wodę.

— Ale kto wam mówił? To ciekawa historya... więc kto?

— Na cóż wam wiedzieć... dość, że ktoś bardzo bliski generała... rozumiecie?

— Hm... to źle... a czort wiedział o tem, a teraz znów z Ogniewską — namyślał się chmurny, bo jeśli Balkowska posiada tak wpływowe znajomości, to i Ogniewska również. Sprawa zła, doniesie się do generał gubernatora... więc nagle spytał:

— Czy stary wie o Balkowskiej?

— Żądałem słowa honoru, aby Czerniejewom nie wspominano o tem i sądzę, że nic nie wiedzą.

— Dziękuję wam, to dobrze... taki stary rygorzysta, uważacie, może nie byłby wyrozumiały; hm... ale co zrobię z tą Ogniewską?

— Jaka?... Czy nowa historya?

— To uważaju Mikołaju Piotrowiczu ta, którą dziś kazałem aresztować... ona mieszka z Balkowską.

— A toście wpadli! — uśmiechnął się — oj te kobietki zgubią was Pawle Pawłowiczu i szkoda was...

— Mniejsza z tem — wzruszył ramionami — z kobietami poradzę sam, ale wy powiedzcie, co zrobić teraz?

— Co zrobić? — namyślał się przez chwilę i spytał — znacie ją osobiście?

— Nie, po raz pierwszy rozmawiałem z nią.

— Ot i dobrze... komisarz ją przeprosi, wytłómaczy, że to pomyłka.

— Jaka tam pomyłka! — rzekł zniechęconym głosem.

— Aby uratować pozory, reszta pójdzie gładko. Zanim doniesie się to staremu, wy go uprzedzicie i po wszystkiem.

— A czort mi ją chyba podsunął! — zaklął Gołubiew — no tak, wypuścić trzeba... ale on musi być ukarany.

— Jakże się nazywa?

Gołubiew poszukał w notatce i odczytał:

— Wincenty Rysiński, inżynier.

— Hm... inteligent... pozycya... jeśli go przytrzymamy, trzeba protokołu, on może skarżyć, no i świadków... tak znów wylezie Ogniewska... radzę wam puścić go także.

— Ależ on mi ubliżył — oburzył się Gołubiew wspomniawszy na otrzymany policzek.

— To już wasza wola, ale zważcie, że bez protokołu nie mogę. Gdyby to był inny, to czort pobierz, niech posiedzi, ale uważacie, przez Balkowską dowie się stary, zażąda aktów albo coś takiego... rozumiecie?

— Tak, tak... a to przeklęta sprawa... prawdę mówicie Mikołaju Piotrowiczu, te spodniczki mnie zgubią.

— To i pilnujcie się — uśmiechnął się — a co do tego inżyniera, jak chcecie: albo posiedzi za ubliżenie z protokołem, albo puści się go bez protokołu.

— Ciężko mi... tak trzeba wypuścić, ale ja już go pochwycę, popamięta mnie.

— To już wasza rzecz, Pawle Pawłowiczu, a co do dzisiejszej sprawy, wierzcie mi, że najlepiej zgodnie skończyć.

— Hej, gdyby nie Czerniejew, pokazałbym jemu, co to ze mną zadzierać! — westchnął Gołubiew i wstał z krzesła.

— I ja tak myślę — uśmiechnął się oberpolicmajster — on posiedziałby, a ta z książeczką byłaby pokorna.

— Ot, byłaby rozkosz — zaśmiał się Gołubiew, pożegnał się i wyszedł.

Gdy Logika i Porwa, uwolnieni z więzienia, przyszli do mieszkania, przywitała ich Wanda lekką wymówką:

— Obiecałaś przyjść o czwartej, a już jest po ósmej...

— Wracam wprost z więzienia, — zaśmiała się — więc zrozumiesz, że nie rozporządzałam swoim czasem.

— Jak długo siedzieliście? — spytał Bal.

— Około trzech godzin razem z towarzyszem Porwą.

— Przynajmniej nie nudziliście się — uśmiechnął się — więc i ty byłeś aresztowany? Kiedy i za co?

Wszedł Kola i po przywitaniu spytał:

— Nad czem radzicie?

— Zaraz się dowiecie — mówił Porwa. — Do towarzyszki Logiki przyczepił się jakiś natręt i prawił jej niewłaściwe komplimenta. Właśnie nadszedłem, a gdy nie chciał odstąpić, dałem mu w twarz.

— Bardzo dobrze — zaśmiał się Bal — cóż dalej? Pewno policya, awantura i...

— Trochę inaczej Balu. On zawołał po rosyjsku na policyanta, przyzwał patrol na pomoc i poprowadzono nas do cyrkułu. Tam zabronił spisywania protokołu i osadzono nas w areszcie, z którego po przeproszeniu towarzyszki Logiki, aresztowanej jakoby przez pomyłkę, wypuszczono nas przed chwilą.

— I wiesz, jak on się nazywa?

— Naturalnie, to Gołubiew, sekretarz.

— Gołubiew! — zawołał Bal — mam i ja z nim rachunek osobisty.

— I ja — dodał Kola.

— Zaczekajcie — rzekł Porwa — on mnie osobiście najciężej skrzywdził.

— Przepraszam cię, ale wpierw obraził Wandę tu, w jej mieszkaniu.

— Zaraz Balu... ten pan śmiał w mej obecności, kobiecie idącej ze mną zrobić obrażającą propozycyę, aresztował ją i w cyrkule naigrawał się z niej i żaden z was nie doznał tego upokorzenia, więc ja mam pierwszeństwo rozprawienia się z tym panem.

— Czy nie pojedynek? — zaśmiała się Logika ironicznie — tego nie spodziewałam się po was.

— I słusznie — odpowiedział Porwa — załatwię rzecz bez pojedynku.

— Dobrze... ty pierwszy, ja drugi.

— Zgoda, o ile uznasz, że ukarałem go niedostatecznie... Ale mniejsza o sprawy osobiste, mam bardzo ważne wiadomości z Petersburga. Rządowi wypowiadają walkę strejkową, aby go zmusić do zwołania konstytuanty.

— Wiem o tem — przemówił Kola — i dlatego przyszedłem, aby zawiadomić towarzyszkę Logikę o posiedzeniu.

— Ażeby porozumieć się z naszą partyą przyjedzie dziś z Petersburga o godz. 9 minut 35 Wara. Nie przypuszczając, że będę dziś aresztowany, wyznaczyłem schadzkę u siebie, lecz po dzisiejszym wypadku obawiam się śledzenia ze strony policyi. U Figury nie można, bo pilnują go... chyba u ciebie Bal?

— Mam pająka od dwóch dni, który zastawia sieci, ale ja nie mucha bezmyślna — uśmiechnął się.

— Dlaczegoż nie u nas? — odezwała się Logika — tu dość bezpiecznie.

— Znów nie tak bardzo — powiedział Bal — i wy byliście aresztowani i was mogą także śledzić.

— Zdaje mi się, że nie — mówiła Logika — bo zważcie tylko: Ów pan narzucał mi się uporczywie, został przez towarzysza Porwę poskromiony. Biorą nas do cyrkułu, przy protokole on wpada w gniew, odgraża się, każe mnie przez trzy dni zatrzymać... i w kilka godzin komisarz sam raczył mię przeprosić za omyłkę — uśmiechnęła się — a wiem, że ten pan nie omylił się co do mej osoby. Logicznie rzecz biorąc, musiałam mieć albo protekcyę, o czem wątpię, albo sam pan Gołubiew rozmyślił się i chce zatrzeć sprawę. I w jednym i w drugim wypadku mnie o nic nie podejrzywają, a na towarzyszu Porwie pewno zechce się zemścić i może kazał śledzić.

— Macie zupełną słuszność, towarzyszko — rzekł Kola — na razie jesteśmy u was bezpieczni.

— Jeśli tak sądzicie, zbierzemy się u was o godzinie dziesiątej... teraz wychodzę, aby dać znać innym.

— A kto z naszej partyi? — spytał Bal.

— Nas dwóch i Igielski z kolei... Bywajcie, o dziesiątej przyjdę.

Po krótkiej naradzie, czem przyjąć zgromadzonych towarzyszy, Bal i Kola poszli po zakupna, a Logika z Wandą zajęły się przygotowaniem naczynia i herbaty.

— Jak się to szczęśliwie złożyło — zaczęła Wanda — że u nas będzie posiedzenie.

— Dlaczego Wandziu?

— Pierwszy raz w życiu spotkam sympatycznego Rosyanina. Czy ty go znasz?

— Widziałam go na posiedzeniu u Figury, robi korzystne wrażenie swą szczerością.

— A jaki on?

— Wysoki, szczupły i ma bystre, przenikliwe oczy... Ale wiesz Wandziu, twoje pytania są dziwne, przecież znasz Rosyanina sympatycznego i miłego.

— Ja!?

— A Kola? — zaśmiała się.

— On co innego, nawet mi na myśl nie przychodzi, że to Rosyanin, uważam go po prostu za Polaka i mówię z nim szczerze i otwarcie.

— Czy o wszystkiem? — uśmiechnęła się Logika.

— O tyle, o ile mówi się z przyjacielem brata — powiedziała z lekką niecierpliwością — a zresztą po co te pytania?

— Tak sobie, bez zamiaru jakiegokolwiek.

— A gdybym ja ciebie pytała z tym twoim uśmiechem?

— Możesz.

— Nie, nie będę... żartowałam tylko... Idę do samowaru; może już trzeba będzie zaparzyć herbatę.

Wkrótce nadeszli Bal i Kola, obładowani prowiantami i zaczęła się wesoła rozmowa jak zwykle pomiędzy młodymi.

Bal spojrzał przypadkiem na przeciwległe okna i zawołał:

— Jeśli chcecie przypatrzeć się Gołubiewowi, jest sposobność — a gdy podeszli, Bal przykręcił lampę, poszukał lornetki teatralnej i patrzał.

Gołubiew stał przy biurku.

Widać było, że dopiero wszedł, gdyż kapelusz miał na głowie i na lewej ręce rękawiczkę. W ręku trzymał papier i wpatrywał się w niego uważnie, czytał, przysuwał do lampy, odsuwał, obracał na jedną i drugą stronę, aż Bal zawołał zadowolony:

— Czyta ostrzeżenie partyjne, widziałem naszą pieczęć — podał Logice lornetkę — widzicie jego niepokój?

— Wiecie, to mnie nic a nic nie zaciekawia — powiedziała Logika odchodząc od okna.

— Ale ja chcę widzieć — wzięła Wanda lornetkę i wpatrując się, mówiła: — tak... to on chciał przemocą wejść do naszego mieszkania.

Logika rozświetliła lampę, odsunęli się wszyscy od okna, które Bal bardzo staranie zasłaniał storami.

— Tuż przed dziesiątą przyszedł Porwa z Igielskim, a wkrótce nadszedł Figura z Warą, wreszcie Jonasz.

Gdy zasiedli, pierwszy przemówił Wara, przygładzając białą ręką nieposłuszne włosy:

— Przyjechałem do Warszawy na mocy rozporządzenia głównego komitetu. Idzie nam o uniemożliwienie Dumy według projektu Bułygina i w danym razie będziemy żądali konstytuanty dla całej Rosyi. Środkiem do zmuszenia rządu w tej sprawie będzie strejk ogólny zawodowy. Chcemy ubezwładnić państwo przez podcięcie wszystkich arteryj życia i ruchu. Dziś mamy 17 października według waszego stylu i od dziś za tydzień przystępujemy do czynnego wykonania. Przybyłem tu, aby was wezwać w Królestwie Polskiem do wspólnej walki z rządem. Dzień naszego zwycięstwa jest bliski i usuwać się od udziału w tej walce nie wolno żadnemu socyaliście, jakiegokolwiek odcienia. Zważcie tylko, że burżuazya, przemysłowcy, obywatele ziemscy już się godzą na komedyę konstytucyi bułyginowskiej, zdaje się im, że skoro się zbiorą, wytargują ustępstwa od rządu. My do Dumy nie możemy dopuścić, bo ogromna większość narodu czekałaby spokojnie, póki rząd nie nabierze sił, nie rozlokuje wojska i nie zdusi każdej iskry wolności. I znów musielibyśmy rozpoczynać na nowo całą pracę spisków, tajnych zgromadzeń, tajnej agitacyi. Wobec tej walki wszelkie separatyzmy muszą ustąpić... Czy idziecie z nami? Przyjmujecie dyrektywę naszego komitetu?

— Co tu dużo gadać — zawołał Jonasz. — Każdy musi się zgodzić i posłuchać rozkazów z Petersburga, od tego wy jesteście w stolicy państwa. Bund idzie razem z wami, tylko ja wam przypomnę nasze warunki: zupełne równouprawnienie narodu żydowskiego i jego języka i my sami stanowimy o naszych szkołach, o naszem wyznaniu, no i bronicie nas w razie pogromów, które są hańbą Rosyi.

— Powiedziałem wam poprzednio, że każdy człowiek w granicach Rosyi będzie wolny, więc i żydzi. Żadnych wyznań nie uznajemy i nie trosz-

czymy się o nie; to rzecz prywatna, osobistych przekonań. Szkoły założone przez was wy dozorujecie, a od pogromów bronimy was i będziemy bronili.

— Wy, towarzyszu Wara, mówicie oględnie; dlaczego nie powiecie — uśmiechnął się — będziecie mieli żydowskie szkoły, żydowską organizacyę, pełne równouprawnienie wyznania i języka żydowskiego?

— Mówię tak, jak uchwalono w komitecie w sprawie żydów, ani mniej, ani więcej.

— Nu, a w konstytuancie my będziemy mieli naszych przedstawicieli? Przecież inaczej nie może być? Coby to była za konstytuanta bez nas, którzy pierwsi zwalczamy despotyzm, czy nie tak?

— Jeśli wybiorą was, będziecie.

— Nie tak towarzyszu, my żydzi z bundu, chociaż w rewolucyi jesteśmy pierwsi i tylko z naszą pomocą wszystko robicie, my jesteśmy w mniejszości i ta mniejszość musi mieć swego przedstawiciela i to nie jednego, ale to w stosunku do wartości, bo my mamy handel, my mamy banki i przemysł.

— W naszej Rosyi, którą budujemy, nikt nie będzie miał przywilejów żadnych, wszyscy są równi i wolni, zresztą, co tu mówić o wyborach, o mniejszości, gdy jeszcze konstytuanty nie mamy. To rzecz przyszłości, a w teraźniejszości wzywam was do połączenia się z nami na zasadach wolności osoby, języka i swobody wyznania.

— Jacy wy twardzi towarzyszu — westchnął Jonasz, gładząc brodę — ale ja zgodny człowiek, nie łamię solidarności i zastrzegając sobie pełne równouprawnienie i niezależność całkowitą naszych szkół i wyznania, do czego wy w imieniu komitetu zobowiązujecie się, my możemy wam pomagać do zrzucenia despotyzmu.

— Dziękuję wam — uśmiechnął się Wara — i wasza pomoc może się przydać.

— Jakto przydać? — zaperzył się Jonasz — to jest lekceważenie undu, ja na to nie mogę pozwolić!

— Uspokójcie się towarzyszu... niech skończę — rzekł Wara tonem lodowatej grzeczności — organizujemy strejk telegraficzno-pocztowy i kolejowy i bardzo wątpię, czy ćwierć procentu bundzistów znajdziemy w tej zawodowej organizacyi.

— Czy to nasza wina? Nas nie dopuszczał rząd, to nie my winni.

— Dosyć targów, towarzyszu Jonaszu — odezwał się Figura—szkoda czasu... Co do naszej partyi, esdeków, my idziemy z wami na wszystko gotowi i agitacyę rozpoczniemy od jutra.

— Spodziewałem się tego — spojrzał z przyjaźnią Wara — no, a teraz wy, towarzysze Polacy?

— Zanim wam odpowiem stanowczo — zaczął Porwa — chciałbym się dowiedzieć szczegółów akcyi i jakimi rozporządzacie siłami?

— Już będą zastrzeżenia, przywileje — mruknął złośliwie Jonasz, nie zważano jednak na niego, a Wara spytał:

— Po co wam te szczegóły? Idzie o zasadę łączności a nie o podrzędne rzeczy.

— Dla was może to są podrzędne szczegóły a dla mnie ważne. Nie mogę lekkomyślnie narażać towarzyszy partyjnych na nędzę, głód i możliwą utratę posad zajmowanych, jak również narażać kraju na ogromne straty, na brak najpierwszych artykułów do życia. Co do mnie, zgodziłbym się na ogłoszenie strejku, gdybym miał pewność, że Rosya weźmie udział najszerszy.

— Wynik każdej bitwy jest wątpliwy — uśmiechnął się Figura — dlaczego wy żądacie pewności wygranej?

— Czy to nie separatyzm? — zaśmiał się Jonasz — oni zawsze myślą tylko o sobie, tylko o swoich stratach, a my czy nie ucierpimy?

— Jeśli mówicie towarzyszu o żydach — powiedział Igielski nachmurzony — to oni jedni zarabiają na strejkach. Kupują za bezcen meble robotników, a ceny produktów, któremi handlują, rosną w dwójnasób. Więc wy o stratach nie możecie mówić.

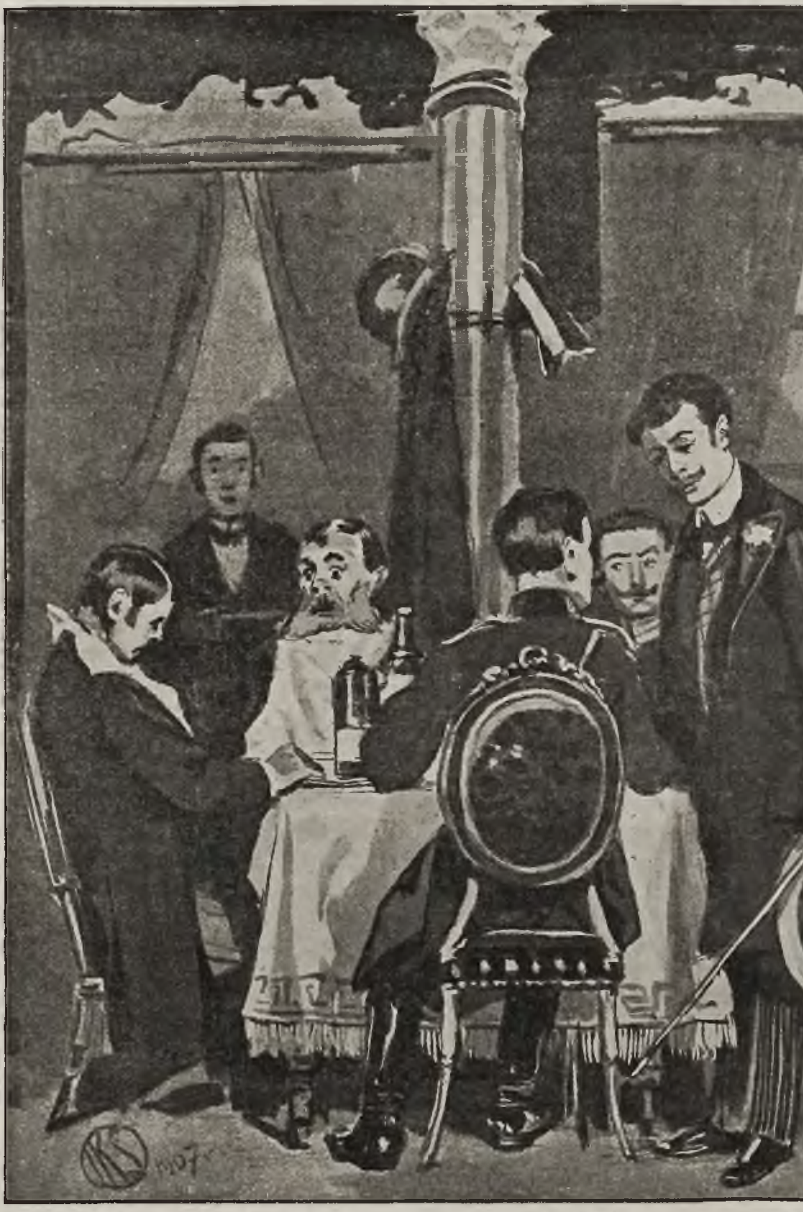
— To robią żydowscy burżuje, ale nie my bundziści. My...

— Po co te swary wszczynacie — rzekł Wara patrząc niechętnie na Jonasza — teraz rozstrzygamy kwestyę poważną — i zwracając się do Porwy, dodał — strejk kolejowy powiedzie się na pewno. Za trzy dni związek kolejowy wyda odezwę do swoich, równocześnie wezwie się poczty i telegrafy. Wasze linie łączą Rosyę z Europą i przerwanie połączenia jest konieczne, aby i zagranica odczuła straty i skłoniła rząd do poważnych ustępstw.

— Których linii jesteście pewni? — spytał Bal.

— Staną na żądanie: Moskwa-Woroneż, Moskwa-Kursk, Moskwa-Archangielsk, Moskwa-Niżny Nowogorod i Moskwa-Brześć. A reszta linii toczy układy co do czasu przerwy ruchu. Czy wam jeszcze mało, towarzyszu?

— Mojem zdaniem — odpowiedział Bal — i my możemy strejkować, ale pod warunkiem: wy



Jestem Wincenty Rypiński, inżynier...

zaczynacie w Moskwie, a skoro stanie linia Moskwa-Petersburg i my staniemy.

— Dlaczegóż ten wyjątkowy honor dla jednej tylko linii? — uśmiechnął się Wara ironicznie.

— Z przyczyny bardzo prostej: ta linia jest jedną z najważniejszych, łączy Petersburg z całą Rosyą i jest też najsilniej strzeżona. Skoro ona stanie, dowód, że macie silną organizacyę i że strejk ten nie może się skończyć na niczem, nie jest manifestacyą, lecz czynem, a o to właśnie nam idzie.

— Ależ zmiłujcie się — zawołał Wara — toż pięć linii staje i wam to nie wystarcza? My żądamy tylko strejku trzech waszych linii: Warszawa-Granica, Warszawa-Petersburg i Warszawa-Moskwa.

— Tu nie idzie o ważność linii — odezwał się Igielski — ani też o ich liczbę. Jestem sam kolejarzem i znam kolejarzy. Warunek towarzysza Bala podtrzymuję w zupełności, ale najważniejsza rzecz, co my zyskamy przez ten strejk kolejowy, bo o to będą pytali w pierwszej linii nasi kolejarze?

— Będziemy żądali podwyższenia płac, uregulowania stosunku do rządu, do przełożonych, rozstrzygania sporów w drodze polubownej, wolności zebrań, tworzenia związków ekonomicznych i politycznych.

— Tylko tyle?! — rzekł Igielski z rozczarowaniem — to są interesa ekonomiczne zawodu, a dla narodu?

— Dla narodu zażądamy usunięcia Bułygina, zniesienia jego konstytucyi, zwołania konstytuanty z władzą prawodawczą i rękojmią wolności politycznej i osobistej.

— Tak i mówcie towarzyszu — zawołał rozpromieniony — bo zapewne, że dobra rzecz podwyższenie zarobku, usunięcie nadużyć, wolność stowarzyszania się, ale one nas nie porwą, nie zmuszą do wyrzeczenia się nabytych praw. Ale wolność osobista i polityczna, zwołanie konstytuanty, ta weźmie i najoporniejszych.

— Z was towarzyszu praktyczny człowiek — mówił Wara z uznaniem — i zaczynam wierzyć, że strejk waszych kolei powinien się udać. Więc możemy liczyć na was?—spytał patrząc na pepeesowców.

— Zgódźcie się towarzysze — zachęcała Logika — przecież ta walka zapowiada się świetnie i zwycięstwo jest niemal pewne. Wyobraźcie sobie, że nagle ustaje komunikacya, listy, depesze, telefony, ani przewieźć wojska, ani wydać rozkazów i nie wiadomo, co się dzieje o kilka mil. A może już zwyciężyła rewolucya, będą siebie pytali zatrwożeni ministrowie, co poczną automaty biurokratyczne bez sprężyny? A my nie odstąpimy od naszych żądań politycznych i zwyciężymy! — oczy jej pałały, twarz była rozpromieniona.

— Zgódźcie się, zgódźcie — prosiła Wanda, porwana zapałem Logiki.

— Wszystko to piękne — przemówił Porwa — wszystko to może być, ale i klęska również. Nasza zgoda musi być uwarunkowana: najpierw wy zaczynacie w Rosyi, my stajemy razem z linią Moskwa-Petersburg; od żądań politycznych nie możecie odstąpić bez naszej zgody, t. j. bez zgody naszych kolejowych delegatów, którzy zresztą podadzą swe zawodowe żądania.

— Bardzo słusznie — dodał Igielski a Bal skinął głową na znak zgody.

— A co, Polacy? — zaśmiał się Jonasz, patrząc na Warę — ci umieją skorzystać z położenia...

— Ten zawsze jak Piekarski na mękach — powiedział Igielski z niesmakiem.

— Co wy mówicie? Co to za Piekarski?

— Dowiecie się później — zaśmiał się Bal — cóż towarzyszu Wara?

Ten siedział nachmurzony, coś obliczał i ważył w głowie, jak widać było ze skupienia na twarzy, wreszcie rzekł po dobrej chwili:

— Kiedy nie może być inaczej, przyjmuję wasze warunki... delegatów waszych przyszlijcie do Petersburga, a za tydzień staniecie z linią Moskwa-Petersburg. Jednak zwracam waszą uwagę że w interesie rewolucyi byłoby bardzo pożądane, abyście stanęli wcześniej. Skoro wy odetniecie Rosyę od Europy środkowej i pójdziecie zaraz za Moskwą, zrobi to bardzo korzystne wrażenie na innych liniach kolejowych, a nawet na całej Rosyi, nie licząc rządu.

— Oni nie chcą wspólności, gdzie trzeba coś poświęcić — zaśmiał się Jonasz.

— I znów Piekarski!... — uśmiechnął się Igielski.

— Co to jest Piekarski? — oburzył się Jonasz — ja tu nie przyszedłem na żarty, ja przedstawiciel bundu.

— Może macie słuszność Wara — przemówił Porwa spokojnie — ale my musimy liczyć się z warunkami i ludnością naszą. My jesteśmy w stanie obostrzonej ochrony, rząd skłonny do zdławienia nie tylko naszego ruchu, ale całego kraju, ponieśliśmy dużo strat i nowy wysiłek musi posiadać pewność powodzenia.

— Rozumiem was... to już niech będzie na wasze. Cóż było z manifestacyą za Moskwą? Dużo strat?

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Choroba snu“.

Im dalej posuwamy się ku równikowi, tem więcej napotykamy chorób, dotykających całe obszary niektórych krajów. Do takich chorób, które podobnie jak żółta febra lub dżuma dziesiątkują ludność strefy gorącej, należy w Afryce t. zw. „choroba snu“, dotąd nie wyleczalna.

Poznaną i opisaną została ona przeszło sto lat temu. Wówczas jednak grasowała tylko w niektórych okolicach zachodnich wybrzeży Afryki. Dziś, skutkiem wzmożenia się stosunków handlowych, z inicyatywy Europejczyków pomiędzy mieszkańcami „czarnego kontynentu“, rozszerzyła się już na całą Afrykę środkową, od oceanu Atlantyckiego po ocean Indyjski i stała się prawdziwą plagą ludności murzyńskiej. Ludzie biali podlegają jej dość rzadko.

„Choroba snu“ trwa długo. Z początku ma przebieg łagodny. Zaczyna się stanem gorączkowym, przyczem zlekka nabrzmiewają gruczoły w rozmaitych punktach ciała. Później przychodzą napady snu, z początku peryodyczne, następnie sen ogarnia chwilami chorego tak silnie, że zasypia chodząc lub jedząc. Wreszcie chorych opuszczają siły zupełnie. Tylko nocami niektórzy z nich dostają w ostatnim stadyum napadów szału i wtedy stają się niebezpiecznymi, bo najczęściej okazują chęć mordu. Śmierć chorego następuje z zupełnego wycieńczenia podczas snu letargicznego.

Z chwilą, gdy wzięto się do ścisłego, naukowego badania przyczyn, wywołujących choroby zakaźne, odkryto wszystkie prawie bakterye, które je powodują. Także i co do „choroby snu“ mamy już pewność — dzięki poszukiwaniom Roberta Kocha — że wywołuje ją mikrob, który otrzymał nazwę „*tryponosoma gambiense*“. Niestety jednak nie znaleziono dotąd sposobu zwalczenia tego niewidzialnego a tak strasznego wroga.

Walka z nim jest o tyle trudniejszą, ile że rozsadnikiem choroby jest mucha afrykańska zwana „tse-tse“, której wytępić nie podobna, a która przez ukąszenie przenosi zarazek chorobotwórczy z jednego osobnika na drugi. Jest to ta sama mucha, której przypisują przenoszenie zarazy bydlęcej, tak strasznie trapiącej trzody bydła tubylców i kolonistów w południowej Afryce.

Rząd francuski, zaniepokojony rozszerzaniem się „choroby snu“ na jego także posiadłości afrykańskie, a mianowicie na prowincyę Kongo, wysłał tamże naukową ekspedycyę celem dokładnego jej zbadania, które powinno ułatwić znalezienie przeciw niej środków zaradczych.

Rycina, jaką dziś podajemy w naszem piśmie, przedstawia właśnie tę ekspedycyę, złożoną z doktorów: Martin'a, Leboeuf'a i przyrodnika Roubaud'a w chwili, gdy zajęta jest badaniem murzynów ze szczepu „Bataków“ na „chorobę snu“ cierpiących. W interesie ludzkości życzyć należy tej ekspedycyi, aby jej usiłowania uwieńczone zostały jak najlepszymi wynikami. W razie bowiem, gdyby nie udało się przeciw „chorobie snu“ znaleść radykalnego środka, ludności całej Afryki środkowej grozi poważne niebezpieczeństwo.



»Choroba snu«: Ekspedycya naukowa francuska banda krajowców z plemienia Batoków, cierpiących na »chorobę snu«.



»Memento mori« Pierwsze wnętrze podziemia w klasztorze kapucynów »Porto Nuova« w Palermo z mumiami zakonników.

Memento mori!

Rozmaite narody rozmaicie zachowują się wobec śmierci. U narodów północnych śmierć i połączone z nią okoliczności owiane są tajemniczą grozą, która sprawia, że pogrzebom nadają możliwie ponurą cechę i że zwłoki zmarłych kryją głęboko w ziemię lub w mury grobowców. Inaczej u ludów południa — tam pogrzeby pozbawione są zbyt ponurego charakteru, a n. p. pogrzeby dzieci we Włoszech noszą wprost piętno jakiegoś radosnego zdarzenia. Niezawodnie niebo ciągle pogodne i przyroda uśmiechnięta przyczyniają się do tego nastroju, nielicującego ze śmiercią.

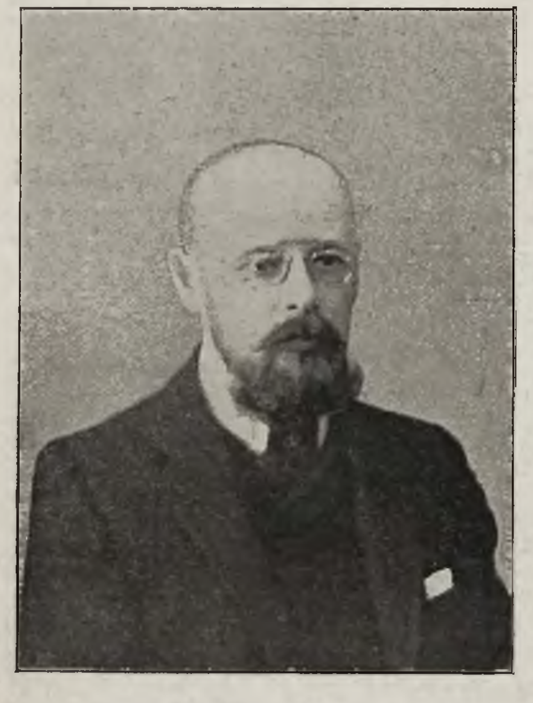
U nas zwłoki ludzkie budzą zawsze odrazę i nie przychodzi nikomu na myśl, aby przez dłuższy czas wystawić je na widok publiczny. Tymczasem w niejednym z klasztorów włoskich, oczywiście tam, gdzie są potemu sprzyjające warunki, zwłoki zmarłych świeckich i zakonników poddawane bywają naturalnej mumifikacyi, a później ustawiane w podziemiach kościelnych.

Widok takiego podziemia, z klasztoru Kapucynów Porto Nuova w Palermo, podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma. Niezmiernie suche powietrze, jakie wypełnia te podziemia, w połączeniu z wysoką temperaturą w stolicy Sycylii, sprawiają, że trupy ludzkie zamieniają się dość szybko w szkielety, okryte skórą. Habity, w które ubierają je bracia zakonni, nadają tym szczątkom ludzkim pozór, dla nieprzywykłego oka wstrząsający. Miejscowa ludność jest jednak z nim najzupełniej oswojona. W dnie, gdy dostęp do podziemi jest dozwolony, można tam widzieć tłumy publiczności, przechadzającej się wśród tych nieboszczyków w humorze doskonałym, który objawia się wybuchami śmiechu, głośnymi rozmowami i żartami niezawsze stosownymi....

Obojętnie patrzą szkielety dawno już zmarłych zakonników na tłum żyjących, tylko od ich czaszek z wyszczerzonymi zębami zdaje się iść cichy szept: „Memento mori! Patrzcie, czem zostaniecie kiedyś!“

Szeptu tego nie słyszą obecni, a zgraja ciekawych turystów, pomiędzy którymi, jak wszędzie we Włoszech, prym trzymają Anglicy i Amerykanie, posuwa się nieraz do uszkodzenia całości szkieletów, zabierając pojedyncze części ich kości na pamiątkę pobytu w tych osobliwych podziemiach.

Poubierane szkielety stoją tak długo na miejscu, dopóki kości się nierozluźnią, poczem składane zostają do wspólnego ossaryum. Wtedy niknie ostatni ślad po tych, co tylko z imieniem zakonnem skończyli wędrówkę doczesną, wyparłszy się nazwiska, rodziny, przyjaciół....



Bohaterowie reakcyi: Wykluczony z 15 posiedzeń Dumy poseł Puryszkiewicz.

Bohaterowie reakcyi.

Duma rosyjska, pomimo najlepszej chęci większości swych członków, dotąd nie może dojść do pozytywnych rezultatów swej pracy. Z jednej strony sfery rządzące nie dwuznacznie starają się ot o, aby jak najprędzej skrócić jej żywot, z drugiej zaś strony w jej własnem łonie nurtują dwa prądy, które za każdą cenę pragną w niwecz obrócić jej działalność ustawodawczą. Prądy te wypływają z dwóch skrajnych skrzydeł Izby: od socyalistów i posłów należących do „Związku prawdziwie rosyjskich ludzi“, oraz od „październikowców“. Socyaliści wychodzą z zasady, że Duma dzisiejsza odegrała już swoją rolę i że jej miejsce powinna zastąpić „konstytuanta“, wybrana na innych warunkach, niż dotychczasowy parlament. Skrajna zaś prawica, która w zasadzie nie uznaje rządów konstytucyjnych, tem samem nie chce znać Dumy, jako przedstawicielki narodu.

Przedstawiciele tej strony Izby, posłowie Puryszkiewicz i Sasonowicz (profesor uniwersytetu warszawskiego) wywołali parę dni temu kolosalny skandal w Dumie „a propros“ rozpraw nad budżetem ministerstwa oświaty, które wniosło projekt ustawy o powszechnem i przymusowem nauczaniu elementarnem. Sekundował im dzielnie p. Kielepowskij. Skończyły się te skandale na tem, że prezydent Izby Gołowin, z mocy przysługującej mu władzy dyskrecyonalnej, wykluczył wymienionych posłów z piętnastu posiedzeń.



Bohaterowie reakcyi: Wykluczony z 15 tu posiedzeń Dumy poseł Sasonowicz.

Zaszedł przy tem fakt, nieznany w historyi parlamentaryzmu państw cywilizowanych, a możliwy tylko w Rosyi. Gołowin nie chciał z początku siłą wydalić z sali Puryszkiewicza, który oświadczył, że za nic ma jego oświadczenie. Później jednak, gdy skarcony poseł przyszedł na posiedzenie Izby i oświadczył, że ustąpi tylko przed siłą — kazał go Gołowin służbie wyprowadzić. Ze strony jednak służby, spotkał się prezydent z odmową. Lokaje, którzy pełnią służbę przy Dumie, oświadczyli, że nie myślą wcale spełnić jego rozkazu, bo słuchać mają tylko rozkazów prezydenta ministrów Stołypina.



»Memento mori«: Drugie wnętrze podziemi w klasztorze kapucynów na »Porto Nuova« w Palermo, z mumiami zmarłych zakonników.

Puryszkiewicz utrzymał się tedy na placu boju, a ustąpił dopiero wtedy gdy ogromna większość Izby potwierdziła zarządzenie swego prezydenta. Dziś on i jego dwaj przyjaciele polityczni stali się prawdziwymi bohaterami w oczach partyj reakcyjnych, już choćby z tego powodu, że starali się swem dzikiem postępowaniem, udaremnić uchwalenie ustawy, mającej na celu rozszerzenie oświaty w państwie rosyjskiem, która ich przekonaniem—jest przyczyną wszystkiego złego, jakie dziś ich ojczyznę spotyka.

Zaprawdę godną pożałowania jest Rosya, skoro w jej parlamencie mogą zasiadać indywidua o podobnych zapatrywaniach!

Humanitarna instytucya.

Faktem jest stwierdzonym statystycznie, że suchoty piersiowe najwięcej zabierają ofiar z pośród ludzi pracujących umysłowo, a szczególniej z pomiędzy tych, co oddają się zawodowi nauczycielskiemu. Straszna ta choroba tem jest dla nich niebezpieczniejszą, że nauczyciele i nauczycielki tak licho wynagradzani w naszem społeczeństwie, nie mają przeważnie środków, aby leczyć się w samych początkach choroby, gdy jeszcze jest nadzieja i możliwość zapobieżenia jej fatalnym skutkom.

Pragnąc temu zaradzić, grono ludzi dobrej woli założyło jeszcze 1901 roku w Zakopanem towarzystwo pod nazwą „Schronienie nauczycielek i nauczycieli“, które jego cel dostatecznie objaśnia. Niestety jednak środki finansowe tego towarzystwa są nader szczupłe, tak że obecnie może nie więcej jak dwunastu osobom naraz dawać schronienie w swem Sanatoryum, mieszczącem się w wynajętej willi, podczas gdy kandydatek i kandydatów bywa dziesięć razy więcej.



Humanitarna instytucya: Wydział »Schroniska nauczycielek i nauczycieli« w Zakopanem: 1. Prezes J N. Turek, 2. Hr. M. Tarnowska. 3. M. Turkowa. 4. H. Surzycka, 5. Z. Chrostowska 6. Dr. Kostkiewicz. 7. Dr. Żychoń.

Obecnie wydział tego towarzystwa wydał gorącą odezwę do polskiego nauczycielstwa wszystkich trzech zaborów i wogóle do ludzi o dobrem sercu, aby, wpisując się na jego członków, umożliwili mu zwiększenie zakresu działalności. Ze względu na to, że składka roczna członka zwy-



Pierwsza polska szkoła operowa w Krakowie: Uczestnicy i uczestniczki przedstawienia »Halka« z prof. Marso i kapelmistrzem Hockiem w pośrodku.

czajnego wynosi tylko dwie korony i również tyle jednorazowe wpisowe, przeto jak najszersze koła mogłyby do tego towarzystwa, o celu tak szlachetnym należeć.

Dla najprędszego zrealizowania swych projektów, postawił wydział Towarzystwa, z p. Turkiem na czele, już w roku przyszłym rozpocząć budowę własnego budynku, gdzie będzie się mieściło „Sanatoryum nauczycielskie“. Aby pomnożyć swe fundusze, postanowił wydział zaciągnąć od członków towarzystwa pożyczki, w kwocie najmniej 10 koron i płacić od nich 5 procent. Pożyczki te zostaną spłacone najdalej w ciągu lat dziesięciu.

W taki sposób umieszczony kapitał, przyniesie każdemu ładny dochód i tę moralną satysfakcyę, że przyczynił się do powstania tak humanitarnej i pożytecznej instutucyi.

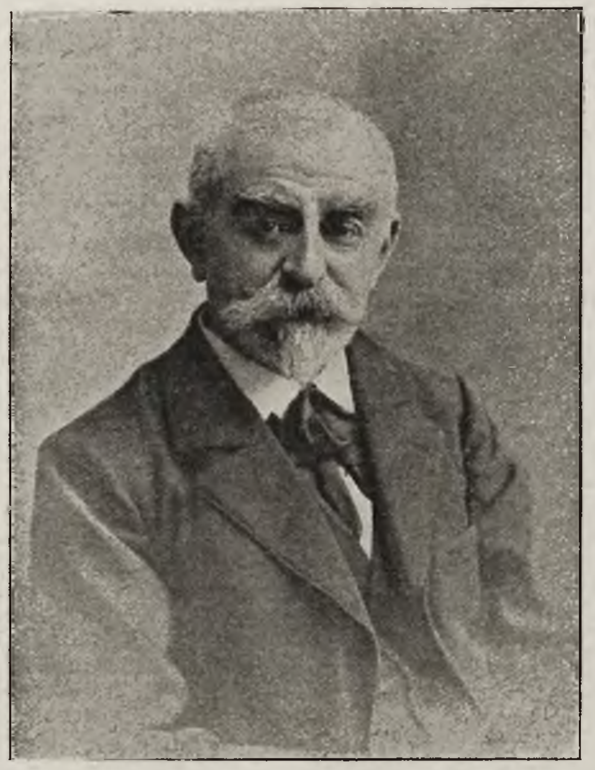
Na chwilę nie można wątpić, że całe społeczeństwo polskie, przyjmie sympatycznie odezwę towarzystwa i że pospieszy zapisywać się na jego członków, czem da dowód swoich uczuć humanitarnych, oraz choć częściowo spłaci dług wdzięczności wobec tak pożytecznych, a licho wynagradzanych pracowników, jakimi są nauczycielki i nauczyciele.

Uczczenie dyrektora poczty.

Poczta, wymagająca od swych współpracowników wielkiej pracy i nadzwyczajnej dokładności, jest instytucyą, która, posiadać musi urzędników, o bardzo wyrobionej praktyce i nerwach, które nie mogą byle czem być wyprowadzone z równowagi. Ileż to razy publiczność irytuje się na tych urzędników pocztowych, którzy czynią więcej niż mogą, a tylko dla tego, że są pracą przeciążeni. A więc trzeba z prawdziwą satysfakcyą zaznaczać każdy postęp na tym polu.

Zwiększający się bezustannie pod wpływem wzmagania się ruchu handlowego i przemysłowego, rozwoju dziennikarstwa, oraz ogólnego postępu na polu naukowem i oświaty, ruch pocztowy tak Krakowa, jak i całego kraju zmusza rząd centralny do ciągłego ulepszania urządzeń pocztowych, a zwłaszcza do pomnażania personalu pocztowego, — co prawda odnośnie do Galicyi, nie zawsze zastosowanego do rzeczywistych i koniecznych wymagań...

Jednym z większych urzędów pocztowych, w którym można obserwować ten olbrzymi wzrost obrotu



Nawrócony naturalista: Jorris Karol Huysmans, zmarły literat francuski.

pocztowego, jest krakowski urząd pocztowy Nr. 2 (na dworcu kolejowym) do niedawna niestety po macoszemu traktowany przez czynniki miarodajne.

Około uporządkowania służby, zapewnienia prawidłowego funkcyonowania tak urzędu stałego, jak w znacznej ilości podlegających temuż poczt ruchomych, przedewszystkiem za pomocą skutecznych starań o znaczne pomnożenie personalu, niemałe zasługi położył obecny naczelnik, p. Leopold Korytowski. Mając poparcie w osobie starszego komisarza, reprezentanta c. k. dyrekcyi poczt i telegramów dla Galicyi we Lwowie, p. Władysława Kowarzyka, który, będąc lustratorem wszystkich tutejszych urzędów pocztowych, potrafił uzasadnić dosadną argumentacyą u kompetentnego źródła potrzebę pomnożenia personalu i wnioski obecnego naczelnika pocztowego na dworcu kolejowym.

W uznaniu jego zasług ministerstwo na wniosek dyrekcyi poczt i telegrafów dla Galicyi, zamianowało Leopolda Korytowskiego dyrektorem, pozostawiając go nadal na tem samem stanowisku służbowem. Nominacyę tę przyjęto powszechnie z zadowoleniem, a w kołach bezpośrednio interesowanych ze szczerą radością.

Dowód przywiązania i sympatyi względem swego naczelnika, złożyli urzędnicy urzędu pocztowego Kraków 2, urządzając w salonach Klubu pocztowego na cześć jego wspaniały bankiet. Wzięli w nim udział: starszy komisarz pocztowy, p. Władysław Kowarzyk, następnie komisarz-lustrator urzędów ruchomych w Galicyi, p. Saliterman i komisarz Niegłos. Urzędy pocztowe: Lwów dworzec i Wiedeń 28 (dworzec kolei północnej) były reprezentowane przez specyalnie wysłaną deputacyę. Urząd pocztowy Nr. 1 w Krakowie reprezentowało liczne grono urzędników z adjunktem p. Münnichem na czele.

Z wielu urzędów pocztowych galicyjskich. od nieobecnych, którym służba przeszkadzała, urzędników ambulansowych, w końcu od urzędników ambulansowych, podlegających naczelnictwu urzędu we Wiedniu i przełożeństwo ambulansów Wiedeń 28 (dworzec północny) nadeszły liczne telegramy gratulacyjne z wyrazami sympatyi dla p. Korytowskiego.

* * *

Zdjęcie, załączone do tego artykuliku przedstawia uczestników bankietu z p. Korytowskim w pośrodku.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

Uczczenie dyrektora poczty: Grupa urzędników pocztowych, podczas uczty na cześć dyrektora Korytowskiego. X Dyrektor Korytowski. 1. Komisarz dyrekcyi poczt Kowarzyk. 2. Delegat z Wiednia Staržikowsky. 3. Inżynier Dudczyński. 4. Zast. dyr. Münnich. 5. Starszy kom. Slapa. 6. Zast. dyr. Rudolf Rudolf.

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

8 (Ciąg dalszy).

Rzeczywiście dowiedzioną było rzeczą, że Germopré był w kawiarni la Paix o szóstej.... w l'Abbay de Thélème, od siódmej do ósmej. Ta restauracya była niedaleko ulicy Clichy. O obecności jego na koncercie Cigale i w Moulin-Rouge nie wiedziano nic zgoła!

Właściciel willi, ojciec Boitard, o którym już była mowa, powtórzył tylko pierwotne zeznanie uczynione w ów wieczór odkrycia zbrodni.

Dodał tylko, że w przeddzień wypadku, około godziny szóstej, lub siódmej wieczorem, dostrzegł na ganku willi, postać smukłej kobiety, która o ile mu się zdawało, miała na sobie długi płaszcz futrzany, a obok niej niższego wzrostem mężczyznę, którego wziął za swojego lokatora. Postacie zarysowały się ledwie w mgle gęstej, która wieczoru tego zaległa ulice.

Dnie upływały nie przynosząc z sobą nic nowego. Do Morgue szły istne procesye, by obejrzeć zwłoki młodej kobiety, bohaterki dramatu. Rozprawiano szeroko, litując się nad ofiarami zbrodni, potępiając mordercę, rzucając od czasu do czasu uwagi złośliwe, na opieszałość policyi. Ale nikt nie rozpoznał kobiety. Przeszukano wszystkie hotele, „chambres garnies“, prywatne mieszkania, pensyonaty, domy publiczne, nawet magazyny krawieckie, zakłady, wypytywano modelki, napróżno, nikt nic nie wiedział. Posłano również zdjęcie fotograficzne do policyi londyńskiej. Odpowiedź wkrótce nadeszła. Młoda kobieta nie była nikomu znaną. Ale obiecano czynić poszukiwania. Co do mężczyzny były pewne informacye. Był członkiem osławionego Banku zastawniczego kradzionych przedmiotów.

Jeszcze tego samego wieczoru szef bezpieczeństwa w towarzystwie ajenta Jaminot wyjechał do Londynu. Pan Moileau zaniechał zaś pierwotnej myśli konfrontacyi powtórnej oskarżonego z jego ofiarami — sądząc, że ta scena, którą on jako były sędzia śledczy, tak często wywoływał — nie uczyni na nim żadnego wrażenia, tem bardziej, że widocznie postanowił milczeć, lub wszystkiemu zaprzeczać. Pan Noileau wstrzymywał jeszcze pochowanie zwłok Bèlaca, mając nadzieję, że przecie zgłosi się ktoś z rodziny, a tymczasem zbierał dokładne wiadomości o jego prywatnem życiu i stosunkach finansowych.

Jeszcze przed odjazdem pana Cardec do Anglii, uczyniono szczegółową rewizyę willi przy ulicy Clichy. Nie wykazała nic szczególnego.

Kilka drobnych plam z krwi świadczyło, że pan Bèlac musiał być zamordowany na kanapie, potem dopiero pod nią ukryty. Czy był wtedy ubrany, czy nie, było to pytanie, na które nikt nie mógł znaleźć odpowiedzi. Co do kobiety rzecz przedstawiała się jasno. Zaskoczono ją gdy się ubierała. Spodnica i stanik przygotowane i złożone upadły razem ze stołkiem, na którym leżały, na podłogę... Tu widoczne były ślady walki. Nagle napadnięta broniła się wściekle i upadając przewróciła świecznik zapalony, stojący na nocnym stoliku i uczepiła się firanek łóżka, które w części podarły się pod jej ciężarem.

Dlaczego w części, a nie całkowicie? Żywa polemika wywiązała się na ten temat, pomiędzy sędzią śledczym, a szefem bezpieczeństwa. W nadziei wykrycia prawdy, gorliwi urzędnicy czepiali się drobnostek, nie mających w sobie nic realnego, opartych jedynie na przypuszczeniach. Pan Cardec, zauważył jeszcze w dniu spełnienia zbrodni, że prześcieradło pokrywające łóżko, nie było zupełnie ściągnięte, że było w jednem tylko miejscu powalane błotem i to spostrzeżenie naprowadziło go na myśl, że w łóżku musiała leżeć tylko jedna osoba, gruba i ciężka. Lecz nie upierał się dłużej, bo choćby nawet było stwierdzonem, że mężczyzna, prawdopodobnie morderca leżał w łóżku, czy rzucało to jakie jaśniejsze światło na sprawę?

Pan Noileau zwrócił uwagę pana Cardec, że kobieta miała również trzewiki powalane błotem i dodał jeszcze, że nie można niczego stanowczo twierdzić. Przez ten pokój przesunęło się tu tyle osób, jeszcze przed wezwaniem policyi, że również dobrze dwaj posługacze, którzy pierwsi weszli do willi, jak sam właściciel pan Boitard, później policyanci, ajenci, reporterzy, którzy zdołali się wcisnąć, mogli zmienić porządek rzeczy w pokoju. W takich warunkach nie można zatrzymywać się na domniemanych i może fikcyjnych szczegółach, które jedynie wpływać mogą ujemnie na wyjaśnienie sprawy.

— Faktem jest oczywistym — kończył swoje rozmyślanie pan Noileau — że kobieta została uduszoną i to przez oskarżonego, gdyż należy wykluczyć zupełnie obecność osoby trzeciej. A gdyby nawet przypuścić obecność tej trzeciej osoby, która była świadkiem morderstwa! Musiałaby do dyabła krzyczeć, wołać!....

— Chyba, że była pod wpływem silnego narkotyku!

— Znaleziono tu tylko ślady chartreuse, więcej nic, a badanie chemiczne wykazało, że ani we flaszce, jak również obydwu kieliszkach, zawierających jeszcze cokolwiek owego likieru, nie znajdowały się żadne domieszki.

— Pan Mingret jednak miał pewne podejrzenie....

— Bez wagi — dokończył pan Cardec. — To było przypuszczenie, które każdy obecny mógł uczynić. Badanie jest wiarygodne. A zresztą sam pan zauważyłeś, że w gabinecie tualetowym nie znaleziono żadnego śladu któryby naprowadzał na przypuszczenie, że dla ostrożności wyczyszczono i pomyto starannie naczynia.

— Tak jest, wszystko poddano chemicznemu badaniu.

Lecz w tejże chwili pan Noileau uczynił sobie uwagę w duchu.

Jeżeli tę kwestyę podniosą, to nigdy nie skończymy. Jakżeż można odnaleść atom narkotyku w miednicy, w karafce z wodą, lub w kuble? Mój Boże! człowiek tylko brnie dalej w ciemnościach, zamiast z nich się wydobyć.

Sprawa rzeczywiście ciągle stała w miejscu. Pomimo pozornego spokoju, pan Noileau był silnie zniecierpliwiony i zdenerwowany tem niepowodzeniem.

Dotąd nie spotkała go jeszcze żadna nieprzyjemna uwaga ze strony zwierzchności, lecz wiedział dobrze, że śledzą i krytykują jego postępowanie i niecierpliwią się. Zniecierpliwienie to wywołało zupełnie nieprzewidziane zdarzenie. A ofiarą był jego młody podprokurator Pardaux.

Pardaux ambitny i dążący do odznaczenia się, silnie zaczął krytykować powolność w prowadzeniu sprawy. — Jakże to można? Sprawa tak jasna, tak prosta przecie! Oh! gdyby to od niego zależało, byłby już wiedział czego się trzymać i byłby już ukończył całe to nudne i długie śledztwo.

Niewiadomo jakim sposobem, ale te jego uwagi i krytyki doszły do wiadomości osób, które z nich uczyniły użytek. Na nim też skrupił się zły humor i zniecierpliwienie władzy. Pardaux otrzymał pewnego dnia rozkaz natychmiastowego przeniesienia się do jednego z zachodnich departamentów, gdzieby mógł trochę uspokoić i ochłodzić wybujałą gorliwość i energię. Panu Pardaux, widocznie ta piekielna sprawa nie przyniosła szczęścia. Ileż to jeszcze w samym początku łożył w nią nadziei i ambicyi.

Pan Noileau dowiedział się o przeniesieniu kolegi, gdy to stało się już faktem dokonanym. Wiadomość nie uczyniła na nim najmniejszego wrażenia. Udzielił mu jej raz wieczorem młodszy, gadatliwy kolega Jerzy d'Asmoy, którego pan Noileau był niegdyś opiekunem i którego kochał jak syna. Przez cały czas nauk młodego swego pupila, sędzia otaczał go opieką i gorącą życzliwością, wspierając go radą i doświadczeniem. Dnia tego pan Noileau, który był starym kawalerem, siedział w swojej prywatnej kancelaryi i wygodnie spoczywał w miękko wysłanym fotelu, z głową opartą o poręcz. Przysłuchiwał się ożywionemu opowiadaniu swojego młodego przyjaciela, śledząc kółka dymu z papierosa. Gdy Jerzy d'Asmoy skończył opowiadanie, Noileau milczał chwilę, aż nagle odezwał się:

Nie, jak na dzisiaj odmawiam. Chcę trochę wypocząć. Wiem, że jestem w tym czasie przedmiotem ogólnej uwagi. Ah! co to za dyabelska sprawa!

— Czy pan mówi o sprawie sędziego Germonpré?

— Tak jest, jestem tak tą sprawą pochłonięty, że o niczem innem, ani mówić, ani myśleć nie mogę. Prawdziwa zagadka!

— I zawsze niema nic nowego? Ale przepraszam, czy mogę bez popełnienia niedelikatności, spytać się o to?

— Bądź spokojny, mój drogi Jerzy, gdyby to było niedelikatnością, tobym się wobec ciebie wcale nie krępował i nie odpowiedział ci na pytanie. Niestety! Niema nic nowego! Stoję zawsze na tem samem miejscu! To okropne, nieprawdaż? Mój drogi, nalej mi jeszcze czarnej kawy. Jestem tak zmęczony, że czuję potrzebę podniecających środków. Ruszyć mi się nie chce, jestem zupełnie bez władzy, ociężały do niemożliwości. Ale widzę, że cię ta sprawa bardzo obchodzi. No! nic dziwnego zresztą! Jesteś przecie narzeczonym Alicyi Berton-Morinval! Kiedy ślub?

— Po upływie żałoby, tak postanowione.

— Prawda! Zupełnie o tem zapomniałem! Ah! ten Germonpré, ładnie postąpił z twoim przyszłym teściem.

— Jak łajdak ostatni, zbrodniarz, wisielec!

— Cała sprawa musi być dla ciebie nieprzyjemną.

— Dla mnie? Wcale nie.

— Cóż ty mówisz?

— Jest to niegodziwy człowiek, godny najwyższej pogardy, człowiek bez serca i litości, lecz przy tem wszystkiem jestem przekonany o jego niewinności.

— Ho, ho! I ty go bronisz?

— Ani bronię, ani potępiam.

— Jesteś stoikiem.

— Nie, jestem tylko szczerym.

— Uważaj! Gdyby cię tak Morinval usłyszał!

— To co? Powiedziałby to samo, co ja.

— On?

— On. Dziś jeszcze rano otrzymałem list od niego. Wie o sprawie Germonpré'a jedynie z dzienników i z tego, co ja mu donoszę. Ale zdążył już sobie o tem wyrobić pewne zdanie.

— I wierzy w niewinność Germonpré'a?

— Nietylko wierzy, ale jest o niej niezbicie przekonany. Sam przecież był w podobnem położeniu i lepiej niż kto inny rozumie, że dowody choć obciążające, mylić mogą. Bardzo pana przepraszam mój drogi opiekunie, ale pozwól sobie powiedzieć, że w tym wypadku nie godzę się z tobą; to jest rzecz sumienia.

— Nie odbiegliśmy jednak od siebie tak daleko, jak się obawiasz. Ja nie potępiam Germonpré'a, tylko jeszcze nie mam w ręku pewności, że jest niewinny. Pojmiesz, że jako sędzia śledczy, prowadzący śledztwo, muszę być ostrożny i postępować według prawa, odkładając na bok moralne i osobiste względy. A jakie jest przekonanie twojej narzeczonej?

— Oh, ona, jak zwykle kobieta...

— To znaczy, że uważa uwięzienie Germonpré'a za słuszną karę, jako zadośćuczynienie za męki, zadane ojcu. Ma się rozumieć, że nie będzie bardzo zmartwiona, jeżeli się dowie o zasądzeniu Germonpré'a.

— To prawda. Ale niech pan zauważy, że pomimo, iż pewni jesteśmy jego niewinności, Germonpré nie wzbudza w nas najmniejszego współczucia, a w Châlon wszyscy powstają przeciw niemu.

— Któż taki?

— Wszyscy. Szczególnie dawni jego przyjaciele, pochlebcy ci, którzy niedawno rzucali się tak zaciekle na Bertona-Morinvala. Przesadzają się poprostu jeden przed drugim, żeby jaką kalumnię na niego wynaleźć. Ładna paczka! Niema co mówić...

— Młody jesteś jeszcze bardzo Jerzy! Zobaczysz, jak prędko te oburzenia umilkną.

— Wątpię.

— Przekonasz się.

— Podobno najzaciętszą z tej całej bandy jest własna żona Germonpré'a, ta furya piekielna, megera!

— To zupełnie normalne.

— Co pan mówi?

— A przedewszystkiem kobiece; kobieta albo jest bohaterką, zdolną do najwyższej ofiary i poświęcenia się, albo staje się szatanem. Nie uznaje półśrodków. Ona widocznie obrała tę drugą ostateczność, bo boi się być posądzona o wspólnictwo. Podejrzewam też w tem jakąś pieniężną sprawę... Słyszałem, że podała o rozwód, opierając się na dowiedzionej podobno zdradzie małżeńskiej.

— Przynajmniej w nieszczęściu spotka go szczęście, gdy go uwolnią.

— A uważasz to uwolnienie za tak pewne? Nie wiem tylko na czem opierasz tak pewne przekonania?

— Przedewszystkiem na zdrowej logice.

— Oh, oh!

— Dlaczego Germonpré miał dokonać równocześnie dwóch morderstw?

— I to wszystko? To bardzo mało mój drogi. A potem co?

— Przecież są inne dowody... te, o których mi pan sam wspominałeś.

— No, słucham cię.

— Są nawet bardzo liczne, zanadto bijące w oczy, nie uważał pan. Chyba postarał się o nie człowiek, któremu chodziło jasno o zwalenie winy na drugiego. Ten sztylet zakrwawiony w kieszeni surduta Germonpré'a, te nożyczki, umieszczone w widocznem miejscu, ta plama krwi, znajdująca się właśnie także na najwidoczniejszejszej części bielizny... wszystko zresztą. I człowiek, który popełnił to podwójne morderstwo, nie miałby na myśli ucieczki natychmiastowej? Dopiero, gdy był napół uduszony dymem, prawie nieprzytomny? Na cóż on do dyabła czekał! Przecież mógł się spodziewać, że lada chwila ktoś nadejść może. Nie? On się zamyka najspokojniej w świecie i czeka, ale na co? Na policyę może? To śmieszne! I pan na przykład nie przypuszcza, by kobieta, tak silnie zbudowana — bo ją widziałem — broniąc się nie podeptała napastnika, nie pogryzła, nie skaleczyła go?...

— Zapominasz, że Germonpré był pokryty drobnemi rankami.

— Tak, ale te były zupełnie świeże, krwawiące jeszcze. Ajenci i policyanci sami zeznali, że pochodziły one z zaciętej walki z nimi, gdy go usiłowali pochwycić, ale właściwie to nie były podrapania.

— Owszem, były.

— Przypuśćmy, ale więcej tam było znaków z uderzeń i kopnięć i to nie na twarzy. A kobieta broniąc się, przedewszystkiem musiała mu skoczyć do oczu. To zwykły i normalny ruch kobiet w takich wypadkach.

Po chwili rozmowy jeszcze na ten temat, Jerzy pożegnał opiekuna i wyszedł.

Pan Noileau długo jeszcze potem siedział zamyślony w swoim gabinecie, ukrywszy twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ VIII.

Polowanie.

Na stacyi w Charing-Cross oczekiwał na Cardeca i Jaminota ajent, wysłany z polecenia londyńskiej policyi.

Człowiek ten inteligentny, dobrze wychowany, mówił wyśmienicie po francusku, nie zdradzając się, że jest cudzoziemcem. Oprócz tego posługiwał się doskonale żargonem zbrodniarzy.

Powtórzył to, co wiadomem już było panu Cardec z depeszy wysłanej do Paryża.

Na uwagę szefa bezpieczeństwa, że należało uwiadomić jubilerów i handle, do których należał Belac, ajent odpowiedział poważnie, że przekracza to zakres jego działania. Nie będąc zapytywany w tym względzie, nie mógł dać podobnej informacyi.

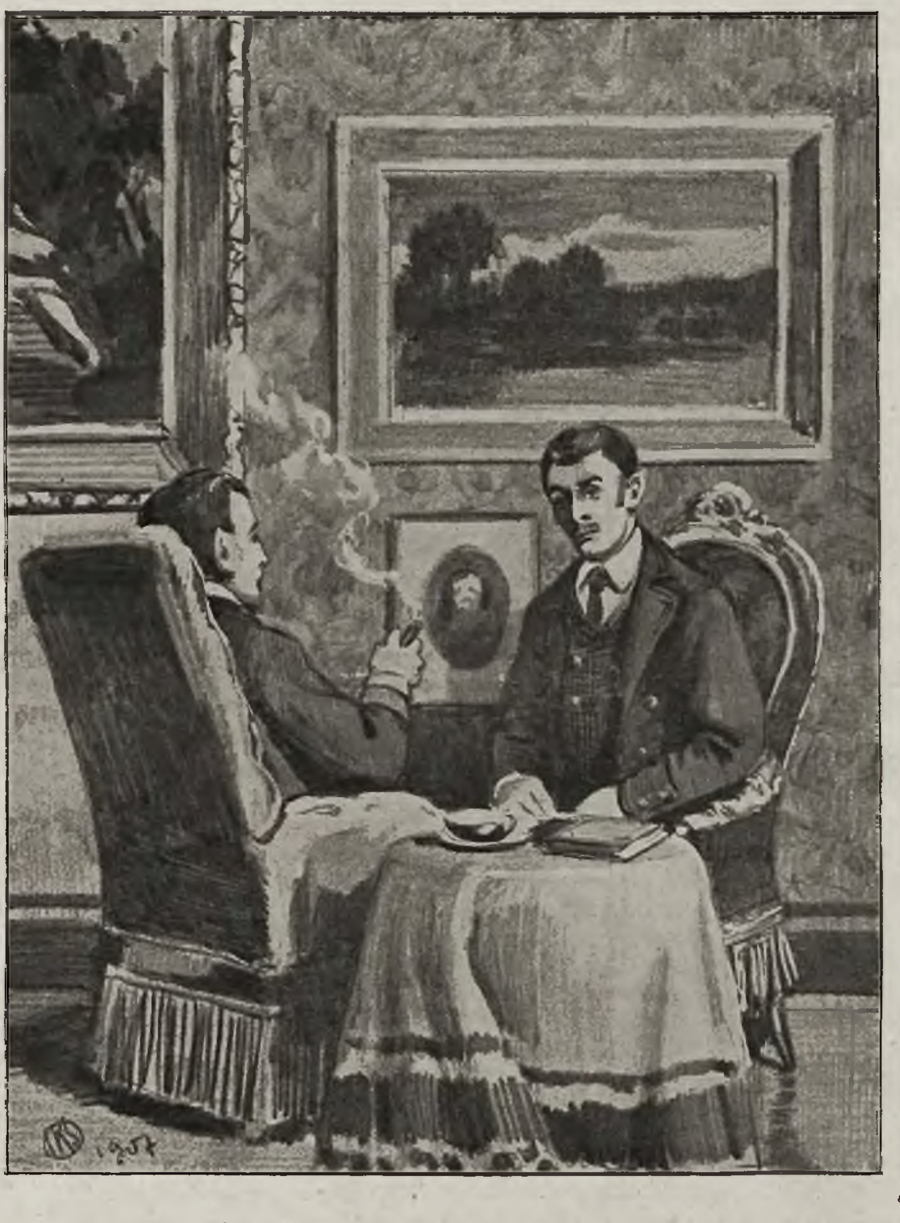
Idąc obok Cardeca opowiadał mu dokładnie o poszukiwaniach dotąd uczynionych, mających na celu odkrycie, kto był ową tajemniczo zamordowaną kobietą. Nie wspomniał więcej o banku zastawniczym na Haymarket, do którego właśnie dążyli, a którego sprawy aż nadto były każdemu znane.

Doszli do dużego pokaźnego domu. Na tablicy z czarnego marmuru, wmurowanej w ścianę, widniał napis złotymi literami: „Bartmamm et Compgnie“.

Wprowadzono ich natychmiast do gabinetu dyrektora przez biuro, w którem pracowało kilku urzędników. Dyrektor był to staruszek poważny o śnieżnej, długiej brodzie. Po wzajemnem przedstawieniu, dyrektor głosem bardzo życzliwym i grzecznym zapytał przybyłych o powód ich odwiedzin, dodając, że pragnie bardzo stać się im użytecznym.

Wiadomość o śmierci Belaka przyjął spokojnie i coś zaraz w książeczce, wyjętej z bocznej kieszeni sobie zapisał, poczem z akcentem wielkiej szczerości, w której jednak przebijał się błysk pogardy, zaznaczył, że zaszła tu pomyłka: Bélaca bowiem nie wiązały żadne interesy z domem bankowym. Był jedynie przygodnym i bez znaczenia korespondentem.

Dyrektor Bartmann uznał za stosowne wytłomaczyć cudzoziemcowi system swoich operacyi finansowych, starając się zniszczyć w ich umysłach niekorzystne i śmieszne uprzedzenie. Była to instytucya użyteczna i filantropijna, z której jedynie osoby okradzione ciągnęły korzyści. Dyrektor Bartmann wykazywał to jasno, zrozumiale, głosem spokojnym i łagodnym. Był przecież z gruntu uczciwym człowiekiem! Ale nie mógł oczywiście zabronić złodziejom ich procederu i gdy ci wydostali skąd rzeczy bardzo wartościowe, on wpływał na nich, aby tych przedmiotów nie niszczyli, lecz przynosili je do banku, który uwiadamiał prawych właścicieli i oddawał im ich własność naturalnie za pewną opłatą, na którą oni się zwykle z największą chęcią godzili. I tym sposobem osoby poszkodowane wracały w posiadanie kosztowności, które w innym wypadku byłyby na zawsze stracone. A że ponosiły koszta, to było bardzo naturalne. Bank musiał się posługiwać płatnymi pośrednikami, którzy podejmowali się tych niebezpiecznych poszukiwań. A jemu, jako dyrektorowi pozostawało błogie za-



...przysłuchiwał się ożywionemu opowiadaniu swojego młodego przyjaciela, śledząc kółka dymu z papierosa.

dowolenie z wypełnionego obowiązku... Cardec słuchał uważnie, cierpliwie napozór, poruszając nerwowo nogą. Straszna złość go porywała na widok bezwstydnego cynizmu tego starca. Panował jednak siłą nad sobą, by nie powstać i nie porwać za kołnierz zacnego dyrektora. Lecz ostrożność i obawa popsucia sprawy powstrzymywały go.

W końcu wybuchnął:

— Ależ — zawołał z wściekłością, zrywając się tak gwałtownie, że ruchem tym przewrócił krzesło, na którem siedział — pan jesteś skończony filut i złodziej! I gdybym tylko mógł pana w swoje ręce pochwycić...

— Panie — odpowiedział zimno Bartmann, podnosząc się — pamiętaj, że jesteś u mnie, na wolnej ziemi angielskiej i śmiesz mnie obrażać! Nie zwracając uwagi na godność pana, mam zupełne prawo kazać pana aresztować! Tak jest, pana! samego pana! Zapytaj się pan o to pana ajenta policyjnego, czy nie mam słuszności.

— Pan ma zupełną słuszność — rzekł spokojnie ajent.

— Chcę zapomnieć o dotkliwej zniewadze, jaką mi pan uczyniłeś w mojem własnem mieszkaniu — ciągnął dalej dyrektor — w zamian za serdeczne przyjęcie, jakiego doznałeś pan u mnie i proszę pana, abyś się zechciał natychmiast oddalić!

Trzeba było zamilczeć, stary łajdak miał prawo za sobą.

Cardec żałował teraz swojego uniesienia. Jaminot zirytowany i dotknięty wyszedł ze swoim szefem.

— Panie szefie — odezwał się po chwili milczenia — czy wolno mi uczynić panu maleńką uwagę? Pan postąpił teraz bardzo nierozważnie. I spudlowaliśmy! a obawiałem się tego. Gdy ten łajdak zaczął opowiadać z miną baranka o swoich dyabelskich sztuczkach, byłem pewny, znając gwałtowność pana, że dojdzie do jakiejś awantury. No dobrze, że się na tem tylko skończyło!... Spudłowaliśmy!... ale nie przegraliśmy sprawy na szczęście!...

— Ale, cóż ty mówisz Jaminot? Jakto nie przegraliśmy? Tyle wiemy, co i przedtem. Ale przedewszystkiem bądź ostrożny. Nie można rozmawiać o wszystkiem przy tym ajencie — dodał Cardec, nachylając się do Jaminota. Musimy go pożegnać i podziękować za dalsze usługi.

Po chwili już byli sami.

— Za pozwoleniem pana — zaczął Jaminot — przecież wiemy, że Bélaca łączyły pewne stosunki z tym starym łajdakiem.

— To dobrze, a cóż dalej?

— Powoli. Otóż widzi pan, mam tu dawnego znajomego-ziomka, który należał niegdyś do naszych, Piètrement... pan go zna, to ten, co się tak gorliwie zajmował sprawą tych kradzionych rzeczy. Jeżeli on nam nie da potrzebnych wskazówek, to tu i sam dyabeł nie pomoże. On tu teraz dorobił się ładnej pozycyi... i pracuje jako amator... tylko dla sławy... a przy tem sprytny i przebiegły jak kot.

— Prowadź mnie do niego.

Po długich poszukiwaniach nareszcie odnaleźli potrzebnego im człowieka. Zabrali go zaraz ze sobą na obiad.

Piètrement rzeczywiście wiedział o wielu ważnych rzeczach, znał dokładnie ciemne operacye banku i odrazu poznał Bélaca z fotografii, którą mu podał pan Cardec. Oświadczył, że go widział w banku kilkakrotnie, ale o kobiecie nie mógł nic powiedzieć.

Szef bezpieczeństwa był doprowadzony do ostateczności; stracił wiarę w skuteczność swojej podróży do Anglii. Czy miał powrócić z niczem.

Widząc znsmucone twarze towarzyszy, odezwał się Piètrement po chwili zastanowienia poważnie:

— Ja wprawdzie w tym względzie nie mogę objaśnić, jednak znam człowieka, z którego będzie pan prawdopodobnie zadowolony.

— Któż to jest?

— Dawny służący Bartmanna, który wie o wszystkiem, co się w domu bankowym dzieje; pijaczyna wprawdzie wielki, ale może być w danej chwili użyteczny... Szczęśliwym zbiegiem okoliczności trzymam go w rękach. Dopomogłem mu wydostać się z różnych niebezpiecznych kawałków, boi się mnie jak ognia i nie jest w stanie niczego mi odmówić.

— Czy będziemy go mogli widzieć?

— Ależ naturalnie, natychmiast. Pracuje na razie w bookmakerze; poza tem nie wiem czem się zajmuje i skąd czerpie dochody, wiem tylko, że co wieczór można go spotkać w l'Alhambre, gdzie schodzą się do niego rozmaici ludzie.

— Dobrze. Chodźmy do l'Alhambry. Czy tylko będzie tam z pewnością?

— O, jak najpewniej! Tembardziej, że tam dziś będzie nowy balet Jacobiego. Ale dla wszelkiej pewności napiszę do niego parę słów i każę mu odnieść do domu.

Było jeszcze zawcześnie, by iść do teatru. Pan Cardec w towarzystwie Jaminota i Piètrementa udał się więc do kawiarni Monico. Cardec czynił to z wielką niechęcią, pragnął bowiem jaknajprędzej dowiedzieć się czegoś o tej nieznanej kobiecie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Postęp w dziedzinie muzyki ulicznej.

(Do ilustracyi na stronie 4).

Katarynka, która tak długo stanowiła uciechę wszystkich maluczkich, którzy nie mogli zaspokoić w inny sposób swych aspiracyi artystycznych, jak tylko słuchając dźwięków tego bardzo prymitywnego muzycznego instrumentu, idzie w kąt. Jej miejsce zajmuje ogromny gramofon, zastępujący i orkiestrę i głosy ludzkie, a który odwiedza podwórza domowe w Wiedniu, jak o tem można się przekonać z załączonej ryciny.

Maszyna ta kosztuje, rzecz prosta, znacznie więcej, niż zwykła katarynka, ale za to jej efekt jest znacznie większy i co zatem idzie, datki sypią się obficiej.

Zresztą musi wobec postępu na tem polu, zniknąć także typ dawnego kataryniarza, lub kataryniarki, którymi byli najczęściej kalecy. Dziś gramofon puszcza w ruch pan elegancko ubrany, mający oczywiście pretensye, aby jego produkcye „artystyczne“ były lepiej wynagradzane, niż produkcye jego dawniejszych kolegów.

Niezadługo zawita i do Krakowa taki gramofon na wózku ku uciesze ulicznych amatorów bezpłatnej muzyki a ku utrapieniu ludzi, c... muszą słuchać jego chrapliwych tonów, podczas gdy zajęci są poważną pracą umysłową.

Nowe zastosowanie automobilu.

Niezmiernie szybki zwrot fabrykacyi automobilów ułatwia najróżnorodniejsze ich zastosowanie. Możność wywołania nader szybkiego ruchu w tego rodzaju pojazdach, uczyniła z nich „par excellence“, sport, który skutkiem szalonej szybkości jazdy, uprawianej przez niektórych „szoferów“ bardzo łatwo staje się przyczyną, jeżeli już nie śmierci, to przynajmniej ciężkiego kalectwa i to nie tylko jadących, ale nawet przechodniów, co mieli nieszczęście znaleść się na drodze pędzącego z szybkością 100 kilometrów na godzinę automobilu.

Ze względu na wysoką cenę wozów automobilowych, posiadanie ich jest dostępne tylko dla osób zamożnych. Powoli jednak znajduje automobil zastosowanie także poza sportem. I tak wozy ciężarowe przewożą już po wielu miastach ładunki, które z miejsca ruszyćby mogło tylko kilka par koni. Dalej zaś automobile spełniają funkcyę dorożek, wreszcie zaś zaprzągnięto je do celów wojskowych.

Dziś już posiadają wszystkie mocarstwa oddziały automobilowe, używane przeważnie do szybkiego rozwożenia rozkazów z głównej kwatery. Dopiero jednak Francuzi wpadli na bardzo praktyczny pomysł użycia automobilu, jako wozu ambulansowego. Rycina jaką podajemy w dzisiejszym numerze przedstawia taki wóz, będący na służbie sanitarnej wojsk francuskich, w chwili gdy rannego do niego wkładają.

Zważywszy wielką szybkość, z jaką ranni ulokowani w wozie automobilowym, mogą być dostawiani na punkty opatrunkowe, a także ze względu na o wiele mniejsze wstrząśnienia wskutek obręczy gumowych na kołach, można z ...ry przewidzieć, że wóz automobilowy znajdzie ... najszersze zastosowanie na usłudze cierpiącej ludzkości podczas wojny.



Nowe zastosowanie automobilu: Automobil, jako wóz ambulansowy w armii francuskiej.



Sprawa budowy nowego dworca w Krakowie: 1. Br. Bahnhans, 2. Prezydent dr. Leo, 3. Dyr. kolei, radca dworu Horoszkiewicz, 4. II. zast. dyr. kolei Soleski, 5. Prezes Izby handl. i przem. Dattner, 6. Sekretarz Izby handl. i przem. dr. Benis, 7. I. zastępca dyr. kolei Zborowski. Fot. apar. red. W. Lis.

Kronika tygodniowa.

Pogrzeb Henryka Jordana był daleko większym dowodem kultury Krakowa, aniżeli wszystko, co za ów dowód uchodzi w artykułach i korespondencyach, poświęconych życiu krakowskiemu. U trumny szlachetnego człowieka zebrał się cały Kraków nie ten tylko inteligentny, który z natury rzeczy powinien lepiej umieć poznać i ocenić wartość ludzi serca i czynu, ale cały Kraków w najszerszem tego słowa znaczeniu. Wszystkie sfery bez wyjątku, od właścicieli „sterczących dumnie“ pałaców, do mieszkańców suteren i przedmiejskich lepianek czuły się w obowiązku złożyć ostatni hołd prochom człowieka, którego życie było jednym ciągiem pracy i ofiarności dla dobra społeczeństwa. Najskrajniejsi liberali i socyaliści zapomnieli, że Jordan był konserwatystą; ludzie wolnomyślni, niewierzący, bezwyznaniowi, szli za pogrzebem jednego z najszczerszych katolików; nie usunęli się od złożenia mu hołdu i żydzi, choć go uważali za antysemitę. A należy dodać, że temperament Jordana nie należał do tych, co jednają sobie osobistych przyjaciół: prawdomówny, wybuchający, czasem nawet szorstki, nie zdolny do kompromisów, do czułych słówek, do ustępstw, gotów każdej chwili i to ostro wystąpić przeciw tym, z którymi go łączyły nawet przekonania, jeżeli mu się coś nie podobało, jeżeli coś się nie godziło z jego sumieniem, z jego pojęciem sprawiedliwości; nie liczący się w tym wypadku z żadną „powagą“, z żadnym stanowiskiem, nie zważający na to, czy mu jego wystąpienie nie zaszkodzi — Jordan raczej narażał się ludziom, niż ich ciągnął ku sobie. A jednak, czy widział kiedy Kraków pogrzeb liczniejszy, hołd prawdziwszy?

Jest mowa o postawieniu mu pomnika — płyną nawet już na ten cel składki. I słusznie — powinno się dać trwały wyraz wdzięczności ogółu dla człowieka wielkiego serca. Ale na pomniku poprzestać nie należy. W pierwszym rzędzie potrzeba zabezpieczyć istnienie tego pomnika, który Jordan sam sobie za życia postawił, a więc wyznaczyć stały fundusz na utrzymanie zabaw dla dzieci w parku jego imienia. A następnie należy wydać życiorys Jordana i rozrzucić go w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. Nie idzie tu o jego daty biograficzne, o to, kiedy został docentem, profesorem, posłem, radcą dworu, kawalerem orderu — ale idzie o pełny obraz jego obywatelskiej działalności. Profesorów, posłów, radców dworu nigdy nie zabraknie — ale nie prędko znajdzie się taki człowiek, jak Jordan. O jego parku wszyscy wiedzą, ale nie na parku kończyła się jego ofiarność. Zebrać trzeba inne szczegóły, trzeba zanotować, jak popierał sztukę, jak kształcił swym kosztem artystów, co robił dla dzieci wrześnieńskich, dla gimnazynm cieszyńskiego, dla robotników, dla młodzieży szkół średnich i ludowych (przypominamy tylko kolonie wakacyjne i warsztaty rzemieślnicze), dla młodzieży rękodzielniczej (zimowa gimnastyka, ślizgawki, chóry), jak gościł u siebie na wakacyach kleryków z Prus zachodnich, aby ścierać z nich pokost germanizacyi, jak pracował nad podniesieniem warunków hygienicznych w szkołach, jak popierał bank poznański, jak opiekował się młodzieżą z Królestwa, jak wydawał pożyteczne popularne broszury, które setkami tysięcy rozrzucał po całym kraju itd. itd. Dopiero te szczegóły razem zebrane dadzą nam charakterystykę człowieka, wzór dla potomnych. „Nulla dies sine linea“ — było jego hasłem, któremu wiernie służył aż do grobu.

Ale jeżeli pogrzeb Jordana był pięknem świadectwem krakowskiej kultury, to kultura galicyjska wogóle... nie świetnie się spisała. Wprawdzie z góry można było oczekiwać, że pierwsze powszechne wybory wypadną nieszczególnie, ale rzeczywistość przeszła oczekiwania. „Najlepszych, najtęższych“ (a przecież takimi powinni być posłowie), na palcach policzyć można i jeszcze parę palców u drugiej ręki pozostanie... niezajętych. Trzecia część reprezentantów kraju posiada zaledwie (i to nie zbyt wielkie) kwalifikacye co najwyżej na gminnych, dozorców kościelnych, kółek rolniczych, kas chorych... Inteligencya zresztą poniosła klęskę nietylko ilościowo, ale i jakościowo. Trzy czwarte jej reprezentantów to zera polityczne. Skandalem wprost jest wybór głównych warchołów, lub syonistów. Upadli najinteligentniejsi centrowcy, nie kandydowali wcale najinteligentniejsi ludowcy, upadła „głowa socyalistów“. Jedynie konserwatyści a w części demokraci narodowi mogą powiedzieć, że wysłali po części swe lepsze siły, ale tych sił jest zaledwie garstka.

Jak wygląda powszechne głosowanie w praktyce, tego dowodzi wybór w okręgu rusko-polskim takiego dra Mahlera, syonisty, docenta uniwersytetu niemieckiego w Pradze. Wybór ten jednak ma swe dobre strony, mówi bowiem wyraźnie, że Rusini z nienawiści do Polaków całkiem pogłupieli — a głupi nieprzyjaciel to połowa wygranej. Dowodem niedomagania umysłowego Rusinów było i głosowanie na dra Ozarkiewicza we wszystkich okręgach lwowskich. Miało tu iść o „policzenie sił“. Gdyby na blisko 20.000 głosujących padło na niego 7.000, a choćby 6.000 lub wreszcie 5.000, miałoby to jakieś znaczenie, ale dr. Ozarkiewicz otrzymał niecałe 2.000 głosów, a więc część $^1/_{10}$. I to ma oznaczać, że Lwów jest miastem ruskiem? i tem się mają Rusini chwalić?

Uwagi na temat wyborów wystarczyłyby na kilka kronik tygodniowych — więc dajmy im pokój i rozejrzyjmy się po szerokim świecie.

„Październikowcy“ rosyjscy uchwalili przejść do porządku dziennego nad autonomią Królestwa Polskiego. Gdyby tylko oni byli tego zdania, to jeszcze możnaby nie rozpaczać. Naprzód sama ich nazwa oznacza, że jest to stronnictwo późnej jesieni, zbliżające się ku zimie życia, a powtóre jest ich mniej więcej tylu w Rosyi, co było zwolenników kandydatury p. Janowicza we Lwowie, lub dra Chaima Hilfsteina w Krakowie. Powinni więc przedewszystkiem przejść i do porządku dziennego... nad sobą.

Sienkiewicz dał Björnsonowi lekcyę historyi, geografii, statystyki, przyzwoitości i uczciwości. Ponieważ jednak grunt norweski jest jałowy i kamienisty, wątpić należy, czy ta lekcya przyniesie rezultaty. Ale jeżeli nie skorzysta „uczeń“, to w każdym razie dowiedzą się trochę prawdy ci, którym ta „lekcya“ wpadnie do ręki. Należałoby ją zwłaszcza bardzo często powtarzać panom berlińskim.

Ale ci panowie są teraz czem innem zajęci. Wujaszek Edward sprawił im nową niespodziankę. Traktat z Japonią daje mu na wypadek wojny 300.000 żołnierza japońskiego. Jeżeli siostrzeniec się nie uspokoi, to kto wie, czy Oyama, Kuroki, Okunogi nie zjawią się w licznej asystencyi wśród murów Berlina. Nawiasem mówiąc, Berlińczycy zrobiliby na tem świetny interes: każde okno frontowe na głównych ulicach, przez które przechodziłby tam pochód uroczysty, przyniosłoby im co najmniej 1.000 marek, bo czyż ktokolwiek w Europie, posiadający tę kwotę w gotówce, nie dałby jej chętnie, aby się przyjrzeć temu najweselszemu, najprzyjemniejszemu widowisku?

Oby tylko nie było trzeba zbyt długo na nie czekać, bo jak statystyka wykazuje, pomimo tak rozgłośnych tryumfów hygieny, ludzi starych jest coraz mniej na świecie, a jeżeli nie na całym świecie, to przynajmniej w Prusiech. Kiedy w r. 1871 było w państwie pruskiem 454 starców 100-letnich, to obecnie jest ich wszystkiego 52, a między nimi 30 Polaków. Ci niegodziwi Polacy we wszystkiem sprawiają konkurencyę Prusakom. To też nic dziwnego, że Bülowy i Studty ostro się do nich biorą.

Za sam opór szkolny w Wielkopolsce (według ostatniego obliczenia) złożono z urzędu 230 sołtysów i ławników, wydalono z gimnazyów 80 uczniów, skazano 16 księży na więzienie, a 15 obłożono karą 1.500 mk. (toczy się jeszcze 20 procesów) — redaktorzy pism polskich mają odsiedzieć 45 miesięcy więzienia i zapłacić 16.540 mk. itd. Dodawszy do tego karne pieniężne mandaty policyjne i kary więzienia wymierzane innym osobom, plon akcyi rządowej przeciw niebezpieczeństwu polskiemu, objawlającemu się strajkiem szkolnym, wynosił po dzień 15 maja: 41.000 mk. i 12 lat więzienia, nie licząc wielkich kosztów sądowych i podniesionych podatków szkolnych w niektórych gminach polskich.

Ale Prusacy zaczynają już prześladować nietylko język polski, ale i... język niemiecki. Nie do uwierzenia, a przecież prawdziwe. Niejaki Billiug, przypatrując się powracającemu wojsku z manewrów, wyciągnął język w chwili, kiedy przejeżdżał „najwyższy wódz“ armii. Za ten „język niemiecki“, został Billing skazany na 9 miesięcy więzienia...

Naturalnie w żadnym związku z Prusakami nie stoi wystawa psów w Warszawie. Posiada ona tyle psów u siebie, że nie potrzebuje ich sprowadzać z Berlina. Są one własnego chowu i importowane Pierwsze z nich niedawno dopiero się zagnieździły ale są tak dokuczliwe, tak dzielne, wprost wściekłe, że całe społeczeństwo żyje w trwodze o życie. Mimo to, jak świadczy Gomulicki w „Dzienniku Poznańskim“, Warszawa się bawi, jak za najlepszych czasów. Jakże się nie ma bawić, kiedy ją do tego zachęca... prasa. Obecnie „cała Warszawa“ po tysiącu posiedzeń dziennych i wieczornych uczęszcza na „posiedzenia nocne“. Jest to tytuł farsy tak pikantnej, że „Dama od Maksyma“ jest przy niej niewiniątkiem. I czy uwierzycie, że codziennie reklamę dla tej farsy umieszcza organ... katolicki, srodze społeczeństwo moralizujący. Cóż mówić dopiero o innych?

Prawdopodobnie redaktor tego organu będzie prawił morały społeczeństwu na zjeździe dziennikarzy katolickich w Warszawie, mającym się odbyć w połowie czerwca. Obecnie zjeżdżają się kobiety.

Zjazd ich odbywa się pod firmą Orzeszkowej. Oby to imię było dobrą wróżbą — oby nie czcza gadanina, lecz dobra wola pracy dla społeczeństwa wypełniła posiedzenia zjazdu. A czyście czytali list otwarty Orzeszkowej, wzywający do brania na wieś podczas lata dzieci ubogich rodziców? Jeżeliście nie czytali, to przeczytajcie. Jest w nim bowiem i rozum i serce, jest prawdziwa miłość maluczkich — jest wielka troska o przyszłość Ojczyzny.

O tem dobrze pamiętają i socyaliści czescy. Zwyciężywszy w ostatnich wyborach, zapewniają, że cały program narodu czeskiego jest i ich programem, że od niego nie odstąpią, że walkę o prawa narodowe prowadzić będą dalej. Ciekawa rzecz, co na to mówi na przykład pan Diamand, poseł lwowski z łaski swego teścia konserwatysty Lazarusa?

Sprawa budowy nowego dworca w Krakowie.

(Do ilustracyi na stronie 13).

W szeregu innych dowodów, do jakiego stopnia władze centralne wiedeńskie lekceważyły zawsze najżywotniejsze interesy Galicyi, jest jednym z bardzo wymownych—sprawa dworca kolejowego w Krakowie. Pomimo, że od lat wielu sfery interesowane galicyjskie dopominały się o odpowiednie wielkiemu ruchowi powiększenie tego dworca, tak w części przeznaczonej dla ruchu towarowego, jak i osobowego, rząd nic prawie nie uczynił, aby uwzględnić słuszne żądania. A dopóki kolej północna była własnością prywatnego towarzystwa, zasłaniano się w Wiedniu tem, że rząd nie posiada odpowiedniej ingerencyi na jej sprawy wewnętrzne. Tymczasem zaś zbudowano ogromną stacyę dla kolei państwowej, Podgórze—Płaszów, i tam zamierzano przenieść — oczywiście ze szkodą Krakowa — punkt ciężkości ruchu towarowego i osobowego.

Tymczasem położenie zmieniło się zasadniczo z chwilą, gdy rząd zakupił kolej północną. Krakowska Izba handlowa i przemysłowa, zawsze stojąca pilnie na straży interesów galicyjskich, podjęła znów energiczne akcyę w kierunku zaradzenia niemożliwym stosunkom, panującym na dworcu w Krakowie.

Osobistym zabiegom prezesa Izby, p. Dattnera, udało się wreszcie sprowadzić do Krakowa barona Bahnhansa, szefa sekcyi w ministerstwie kolejowem, a zarazem dyrektora tej części kolei państwowej, która była przedtem koleją północną. Przybył on do naszego miasta 27 maja wieczorem, a nazajutrz rano udał się w towarzystwie prezydenta dr. Lea, wyższych urzędników kolejowych oraz prezesa Izby, p. Dattnera, na szczegółowy objazd dworca krakowskiego i dworca w Krowodrzy.

Nasze zdjęcie przedstawia chwilę, gdy br. Bahnhans wraca z tego objazdu.

Następnie odbyła się w gmachu Izby handlowej konferencya, w której oprócz br. Bahnhansa wzięli udział: dyrektorowie kolei państwowych pp. Horoszkiewicz i Zborowski, wiceprezydent p. Sare i radca miejski p. Beringer, jako przedstawiciele gminy m. Krakowa, prezydyum hali zbożowej z p. Judkiewiczem na czele, oraz licznie zebrani członkowie Izby, pod przewodnictwem swego prezesa p. Dattnera. Omówiono na niej szczegółowo wszystkie braki obecnego dworca, które dają się szczególniej we znaki kupcom i przemysłowcom krakowskim. Br. Bahnhans okazał wiele życzliwości wobec zgłaszanych postulatów i przyrzekł, iż uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, aby zaradzić istniejącemu teraz stanowi rzeczy na dworcu krakowskim.

W południe przyjmował prezes, p. Dattner śniadaniem wiedeńskiego gościa, na cześć którego odbyła się także uczta wieczorem w salach Grand Hotelu.

Czy tym razem usiłowania interesowanych będą miały jakiś skutek praktyczny, przekonamy się wkrótce, jeżeli rząd przystąpi do budowy takiego

dworca w Krakowie, który odpowiadałby w zupełności warunkom wielkiego ruchu osobowego i towarowego.



Zwycięstwo kobiet: Svengund prezydent Sejmu finlandzkiego.

Zwycięstwo kobiet.

Mała Finlandya mogłaby służyć za wzór dla państw wiele od siebie większych, jako kraj, który umie się rządzić. Pomimo tego, że liczy ona niespełna trzy miliony mieszkańców, rozrzuconych na przestrzeni większej niż połowa Austro-Węgier, pomimo że ludność nie jest jednolitą, bo dzieli się na Finlandczyków i Szwedów, mówiących zupełnie niepodobnymi językami — jednakże zdołała utrzymać swą niezawisłość państwową nawet wobec tak trudnych warunków, jakie dyktuje jej stosunek do Rosyi. Dziś jednak Finlandya cieszy się swoją dawną wolnością, której wyrazem jest Sejm nowowybrany.

Sejm ten różni się swym składem od innych ciał parlamentarnych w Europie, zasiadły w nim bowiem poraz pierwszy kobiety. To o co niewiasty w innych krajach cywilizowanych walczą dotąd napróżno, w Finlandyi stało się faktem dokonanym. Po raz pierwszy zatem razem z „ojcami narodu" będą tam radziły kobiety. Wolno przypuszczać, że przykład Finlandyi podziała także dodatnio na inne kraje i że niezadługo zasiędą kobiety w ławach Dumy petersburskiej, wiedeńskiej Rady państwa, paryskiej Izby deputowanych itd.

W dzisiejszym numerze podajemy grupę, złożoną z trzynastu kobiet, które zaufaniem swych współobywateli wysłane zostały do Sejmu, a pomiędzy którymi znajduje się kilka gorących zwolenniczek socyalizmu. Oprócz tego zaś podajemy podobiznę „telmana" t. j. prezydenta Sejmu i jego sekretarza. Wynik ostatnich wyborów do Sejmu Finlandzkiego tem więcej zasługuje na uwagę, że istnieje odtąd wśród jego wyborców podział na stany: szlachtę, duchowieństwo, mieszczaństwo i chłopów. Pokazuje się stąd, że idee postępowe nawet w tak niekorzystnych warunkach zwyciężyć mogą, jeżeli znajdują poparcie u całego narodu, świadomego celów, do jakich dąży.

Nawrócony naturalista.

(Do artykułu na str. 4).

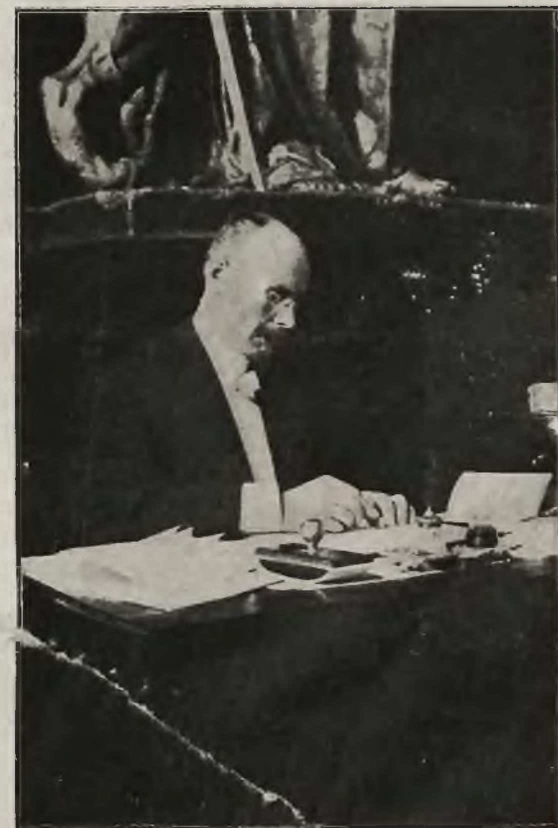
Zmarły kilka dni temu wybitny literat francuski, Jorris Karol Huysmans, był właśnie tego rodzaju okazem, który dla współczesnych będzie stanowił, jeżeli nie zawsze, to przynajmniej na długo ciekawą zagadkę.

Urodzony w roku lutowej rewolucyi francuskiej, Huysmans, syn rodziny holenderskiej, osiadłe we Francyi, skończył studya prawnicze i poświęcił się karyerze urzędniczej. To jednak nie przeszkodziło mu wcale, że poczuwszy w sobie zapał pisarski, porzucił ministerstwo spraw wewnętrznych, gdzie już doszedł do posady podszefa biurowego — a oddał się cały literaturze.

Były to czasy, gdy Zola tworzył swym przykładem nową szkołę. Huysmans, podobnie jak genialny Guy de Maupassant, stał się słynnym przez „Soirées de Médan". Napisał on wówczas mnóstwo większych i mniejszych utworów prozą i wierszem, będących wiernem odbiciem kierunku, który mu wskazał „mistrz" Zola.

Gdy jednak w roku 1887 zaszło między „mistrzem" a pewną grupą jego uczniów ostre nieporozumienie, Huysmans przyłączył się wtedy do dysydentów. Naraz zaszedł w jego umyśle przewrót zupełny. Ze skrajnego naturalisty stał się jego przeciwnikiem. O ile przedtem kruszył kopie przeciw wszelkim wierzeniom religijnym — o tyle potem stał się ich gorącym obrońcą.

Punkt zwrotny w jego zapatrywaniach stanowiła książka p. t. „A rebours", w której napiętnował zwolenników czarnej magii ze wszystkiemi jej wyuzdaniami, przeciwnemi zasadom moralności chrześcijańskiej. Napisał później kilka innych książek, jak: „L'oblot", „La Cathédrale" a wreszcie „Les foules de Lourdes", gdzie okazał się nietylko, jako wróg naturalizmu, ale gorący zwolenik katolicyzmu. Tym zapatrywaniom dał Huysmans wyraz, wstępu-



Zwycięstwo kobiet: Sekretarz Sejmu finlandzkiego.

jąc jako braciszek do zakonu Benedyktynów w klasztorze Ligugé pod Poitiers, gdzie pozostał tak długo, dopóki Benedyktyni nie zostali z Francyi wypędzeni.

Powróciwszy w roku ubiegłym do Paryża, zapadł ciężko na zdrowiu, dostał mianowicie róży na oczach, która przeniosła się później na usta i gardło. Cierpiał strasznie i rzecz szczególna w sposób prawie ten sam, jak bohaterka jednego z jego utworów: „Sainte Lydwine de Schiedam". Cierpienia znosił ze spokojem a przed śmiercią kazał spalić swe rękopisy, które jego zdaniem nie zgadzałyby się ze stanowiskiem, jakie zajął od lat kilkunastu.



Zwycięstwo kobiet: Grupa kobiet-posłów, wybranych po raz pierwszy do Sejmu finlandzkiego.

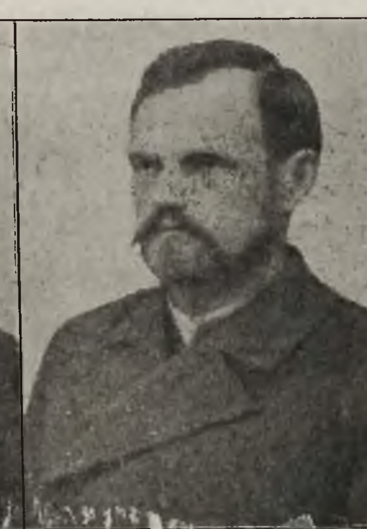
Nowowybrani posłowie.


Franciszek Krempa (ludowiec)
Nisko-Tarnobrzeg.


Józef Staniszewski (ludowiec)
Pilzno-Ropczyce-Dębica.

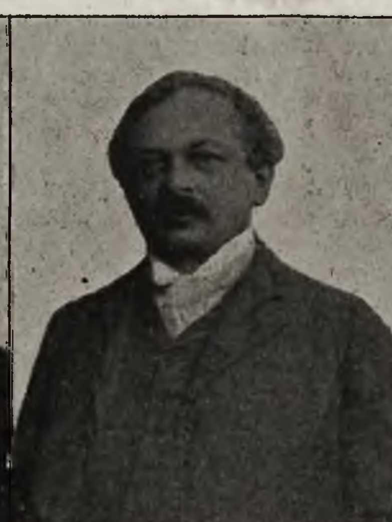

Michał Olsz[illegible] ([illegible] wiec)
Radłów-Wojnicz-Tarnów.


Jakób Madej (ludowiec)
Gorlice-Biecz-Jasło.

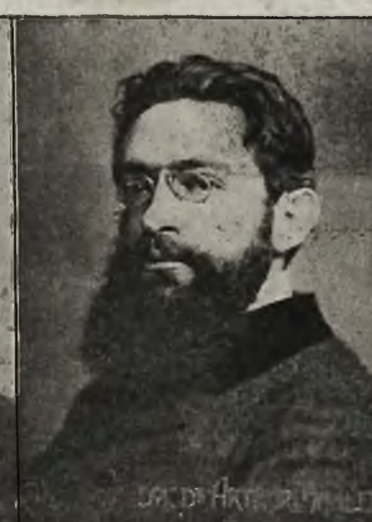

[illegible]ndrzej Średn[illegible]wski (ludowiec)
Wad[illegible]wice-Myślenice.


Ernest Breiter (dziki)
Lwów.


Michał Petrycki (radykał Rusin)
Skałat-Husiatyn.

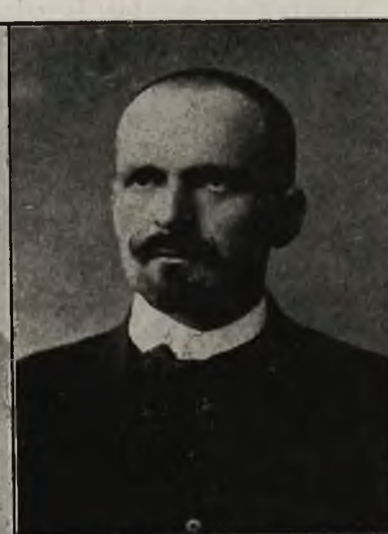

Dr. Herman Diamand (socyal.-dem.)
Lwów.


Dr. Ryszard Kunicki (socyal. dem.)
Cieszyn.


Dr. Artur Mahler (syonista)
Trembowla-Mikulińce.


Dr. Józef Gold (nar. dem.)
Złoczów.


Dr. Henryk Kolischer (demokr.)
Kołomyja.


Dr. Józef Buzek (nar. dem.)
Lwów.


Jan Stapiński (ludowiec)
Krosno-Żmigród.


Dr. Franciszek Tomaszewski
(nar. dem.) Lwów.


Dr. Teofil Okuniewski (ukrainiec)
Zaleszczyki-Borszczów.


Dr. Adolf Dietzius (nar. demokr.)
Jarosław.


Ks. Zygmunt Męski (centrowiec)
Gorlice-Jasło.


Dr. Stanisław Starzyński (kons.)
Żółkiew-Sokal.


Dr. Włodzimierz Kozłowski (kons.)
Jarosław-Radymno.



Dr. Włodzimierz Oleśnicki (ukrainiec) Stryj-Kałusz.



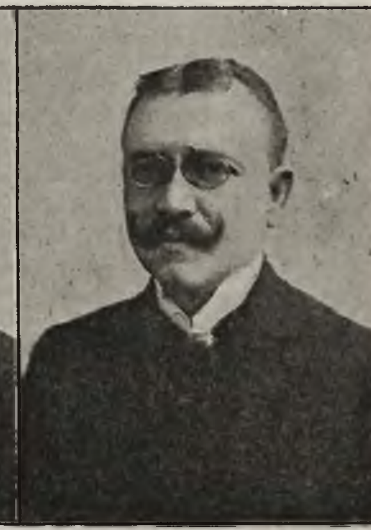
Ks. Leon Pastor (centrowiec) Jasło-Gorlice.



Marek Łuszczkiewicz (ludowiec) Wadowice Myślenice.



Dr. Włodzimierz Ochrymowicz (ukrain.) Zaleszczyki Borszczów.



Włodzimierz Kuryłowicz (moskalofil) Sanok-Rymanów.



Dr. Bronisław Dulęba (demokr). Brzeżany-Chodorów.



Dawid Abrahamowicz (konser.) Rozdół-Żydaczów.



Dr. Michał Bobrzyński (konser.) Mielec-Kolbuszowa.



Hr. Wojciech Dzieduszycki (kons.) Sambor-Gródek.



Dr. Leon Biliński (kons.) Rzeszów-Ropczyce.



Paweł Stwiertnia (post. dem.) Stanisławów.

Piękności z dalekiej północy.

Człowiek posiada dziwnie wytrzymały organizm, który pozwala mu zastosować się do najróżnorodniejszego klimatu, znosić największe gorąco i największe zimno i oczywiście odżywiać się w sposób wskazany warunkami danej szerokości geograficznej, oraz ukształtować wedle niej cały sposób swego życia.

Weźmy np. tuziemców półwyspu Alaszka, Eskimosów. Znają oni tylko trzy miesiące lata, a dziewięć miesięcy ciężkiej zimy, podczas której słońce na kilka tygodni znika z firmamentu. Żaden gatunek zboża nie może w tych warunkach dojrzewać, a jedynem ich pożywieniem są ryby morskie, mięso foki i wielorybów. Czasami udaje się im upolować bobra, wydrę lub niedźwiedzia, których skóry idą po części na ubranie, po części zaś zostają sprzedane handlarzom amerykańskim.

Posiadają wprawdzie Eskimosi rena, który jest jednak dla nich tak ważnem zwierzęciem, że tylko wyjątkowo raczą się jego mięsem, zużytkowując jego skórę, jelita i kości.

Rycina, którą załączamy do tego artykuliku, przedstawia cztery młode Eskimoski, uznane przez swych współziomków za skończone piękności, w towarzystwie ulubionych renów.

Naturalnie, że my, Europejczycy, nie możemy być zbudowani pojęciem Eskimosów o tem, co się nazywa „pięknem“. Przyznać jednak trzeba, że owe cztery piękności eskimoskie mają pełne wyrazu oczy, nadające ich fizyognomii, o wybitnym typie mongolskim, wcale przyjemny wyraz. Ich ubranie zaś bardzo prymitywnego kroju, oczywiście zastosowane do klimatu, zdradza przecież pewne poczucie piękna u tych, co je szyły, skutkiem naiwnej ornamentacyi.

Pokazuje się stąd, że u ludów nawet na najniższym stopniu kultury stojących, tkwi w duszy iskra zamiłowania piękna. Powyższa rycina ciekawą jest i z tego względu, ponieważ Eskimosi są wobec obcych bardzo zazdrośni o swe kobiety. Niemało tedy trudu, zachodów i podarków kosztowało angielskiego podróżnika, zanim zdołał namówić Eskimosów, żeby mu pozwolili zdjąć fotografię z tych czterech dziewcząt.



Piękności z dalekiej północy: Najpiękniejsze Eskimoski na półwyspie Alaszka.

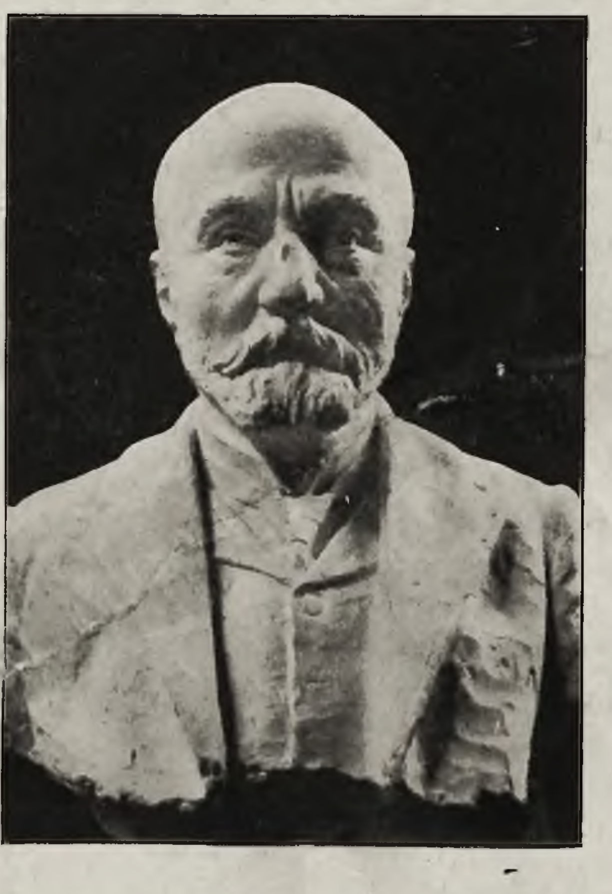
Ze świata sztuki.

Od dłuższego czasu wystawa krakowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych nie była tak licznie odwiedzaną, jak obecnie. Rzecz to nie dziwna, bo niezwykłą atrakcyę wywołuje otwarta tamże w ubiegłym miesiącu zbiorowa wystawa prac Józefa Chełmońskiego, malarza, który należy do nielicznej już niestety garstki tych artystów, co skutecznie podtrzymują dobrze zasłużoną niegdyś sławę polskiego malarstwa. Jest on jedynym z przedstawicieli tej epoki, która wydała takich Gierymskich, Brandtów, Kowalskich, Malczewskich i wielu innych, zapisanych w złotej księdze naszej sztuki.

Jako człowiek, umiejący rysować i malować, nie może Chełmoński być sądzonym z „najnowszego“ punktu widzenia. Wobec zupełnego pomieszania pojęć, które teraz owładnęło naszych artystów ostatniej doby, wobec najwidoczniejszej dekadencyi polskiego malarstwa, wobec wreszcie słabnącej działalności artystów dawniejszej generacyi a marnej produkcyi „najmłodszych“, Chełmoński zajmuje stanowisko bardzo wybitne, bardzo indywidualne.

Poważna ilość płócien, zgromadzonych na obecnej wystawie, daje nam dokładny obraz artystycznej działalności Chełmońskiego, począwszy od roku 1869, a skończywszy na roku bieżącym. Już w pierwszych pracach widać te zadatki talentu, który później tak pięknie się rozwinął. Przedewszystkiem uderza w nich niesłychanie proste i szczere odczucie przyrody, dalekie od wszelkiej manieryi i konwenansu. Każdą porę roku i dnia umie wprost bajecznie podpatrzeć Chełmoński i z odpowiednim nastrojem przenieść na płótno.

Dalej podziwiać należy wielostronność Chełmońskiego, tak korzystnie odbiegającą od ekskluzywności, w jaką wpadają malarze czasów ostatnich. On z równą maëstryą maluje krajobraz, jak ludzi i konie, z równą łatwością i prawdą maluje pejzaż zimowy, jak letni, lub jesienny — ciągle zaś jest taki „nasz“, taki swojski, tak odczuwa piękność polskiej przyrody, że wprost chwyta za serce każdego Polaka.



Ze świata sztuki: Biust śp. prof. dr. Henryka Jordana, wykonany przez artystę rzeźbiarza A. Szczygielskiego.

Wśród sześćdziesięciu kilku numerów, jakie złożyły się na tę wystawę, brakuje wprawdzie kilku najcenniejszych obrazów Chełmońskiego, pomimo tego jednak znajdują się tam dzieła pierwszorzędnej wartości. Weźmy np. choćby taką „Orkę“ (nr. kat. 32), lub „Mgły poranne“ (nr. 26), albo „Racławice“ (nr. 44) — wszystko to obrazy kapitalne, w których niema jednego pociągnięcia pendzla zrobionego napróżno, gdzie kompozycya z wykonaniem zlewają się w całość pełną harmonii.

Zachęcać do zwiedzania tej wystawy, która zresztą kończy się już 15 czerwca, byłoby rzeczą zbyteczną, bo publiczność krakowska ma zbyt dużo wyrobionego smaku, aby nie skorzystała skwapliwie z tak rzadko nadarzającej się sposobności oglądania tylu naraz dzieł tej miary artysty, jak Józef Chełmoński.

* * *

Szczupła kolonia rzeźbiarska w Krakowie powiększyła się o jednego nowego artystę, p. Antoniego Szczygielskiego, który przybył do nas z Łodzi. O godnym uwagi talencie tego rzeźbiarza daje pochlebne świadectwo modelowany z natury biust śp. dra Henryka Jordana, który podajemy w reprodukcyi w dzisiejszym numerze naszego pisma. P. Szczygielski, uczeń Syrewicza w Warszawie i Eberlego w Monachium, należy do artystów bardzo seryo traktujących sztukę, a wykonał już znaczną ilość rzeźb religijnych, alegorycznych, oraz biustów, w których celuje.

Niewątpliwie znajdzie się dlań w Krakowie otwarte pole pracy i odpowiednie poparcie i uznanie.

Z lwowskiego bruku.

(Po wyborach. — Cudowni posłowie. — Niewytłómaczona sprawa nadużyć. — Dziennik a wybory. — W czem maczano gęsie ogony. — Sposób na lwowskie śmiecia a entuzyazm śmieciarzy. — Gościnne występy w teatrze.

Jesteśmy nareszcie po wyborach. Nowi posłowie obliczają swoje wydatki i swoje długi, hyeny wyborcze swoje zarobki, agitatorzy honorowi swoje sińce i tylko jeszcze dzienniki wysyłają sobie ostatnie pociski „ex re“ wyborów, bo nie miały jeszcze dość czasu nagadać sobie należycie.

Między nowymi posłami Galicyi są tacy, którzy wyszli z urny całkiem niewinnie. Ani nie przekupili wyborców, ani prosili o ich względy, ani im się zasłużyli, ani nawet nie byli im znani. Postawiono ich jako zwykłych kandydatów liczebnych i dzięki szczęśliwej, czy nieszczęśliwej konjunkturze — wyszli.

Wyszli i rozglądnęli się i sami się zdziwili i kraj się zdziwił a najwięcej zdziwi się parlament, gdy ich zobaczy. Mówię „zobaczy“, bo z pewnością nie usłyszy. Ale dzieją się cuda wszędzie, dlaczegóżby nie miały się dziać przy wyborach? Taki „cudowny“ poseł, to swoją drogą produkt czysto galicyjski, bo tylko w Galicyi jest to możliwem, ażeby siać co innego, a co innego znowu wyszło.

Poza tem wybory zostawiają po sobie najlepsze wrażenie. Jedno tylko pozostaje niewytłómaczonem. Wszędzie, gdzie ścierały się ze sobą dwie partye, były przy wyborach nadużycia. Jedna partya twierdzi o drugiej, że posługiwała się niesłychanem terrorem, korrupcyą i szwindlami, a druga twierdzi i dowodzi, że właśnie pierwsza szachrowała kartami wyborczemi, terroryzowała wyborców i popełniała łajdactwa. Ponieważ zaś jedna partya i druga zaklinają się tak święcie, że i psu można by wierzyć, przeto musimy przyjść do przekonania, że nasze wybory naogół były bardzo skandaliczne.

Z przedwyborczych rewelacyj dzienników wynika, że tylko łotry kandydują, a z powyborczych notatek i telegramów wynika, że wszystko szachrowało w niesłychanie bezczelny sposób – i to mają być wybrańcy narodu i to mają być wybory wybrańców.

Na szczęście dziennikarstwo galicyjskie a specyalnie lwowskie – z małymi wyjątkami – robiło podczas wyborów wszystko możliwe, aby u czytającego ogółu stracić wiarę kompletnie. Doszło dziś do tego, że gdyby taki dziennik i prawdę napisał, to mu już także nie uwierzą.

* * *

Ale bo też się pisało, pisało! Gęsie ogony maczano — nie już w żółci, ale — w kanale i wydobywano delicye kalumniatorskie z samego dna. W walce wyborczej zapomniano o dobrem wychowaniu, ogładzie, takcie, o poziomie umysłowym, o pozycyi społecznej — ba nawet nie zostawiono sobie szczypty rozumu! Aż Towarzystwo dziennikarzy musiało specyalnym okólnikiem zwrócić uwagę na ten „niewłaściwy sposób polemiki“, co przetłómaczone na język codzienny znaczy: rynsztokowy styl kalumniatorski. A imały się tej broni te właśnie organy, które przez długi czas usiłowały udawać dobre wychowanie, swoją drogą nie zawsze z dobrym skutkiem.

Ile to pisma straciły na powadze i znaczeniu u swoich czytelników i prenumeratorów, to się na razie nie da tak łatwo obliczyć, chyba tylko przeczuć. Wylazła na wierzch farba w każdym razie i nie da się już chyba zmyć żadnymi słówkami o pomadkowym smaku.

Najciekawszem jest, że tą polemiką, a raczej tym tonem polemiki osiąga się – jak się pokazało w niejednym wypadku — skutek wręcz przeciwny. Szkodzi się tylko sobie, a przeciwnikowi się pomaga, robiąc mu kosztowną reklamę... Nie? „Egzempla docent...“ I cóż wy teraz na to mistrzowie tego politycznego stylu i stylowej polityki?...

* * *

Z nowości miejskich najciekawszą jest sprawa lwowskiego śmiecia. Jak to każdemu, kto choćby raz w życiu był we Lwowie wiadomo, niema nigdzie tyle śmiecia, ile we Lwowie. Lwów z tego już dziś słynie, a gdyby śmiecie było pokupnym artykułem, mieszkańcy Lwowa byliby milionerami a gmina nie potrzebowałaby zaciągać tak wielkich pożyczek. Tymczasem tak nie jest. Przeciwnie. Ludzie od lat narzekają na śmiecie i nudzą magistrat, aby je raz uprzątnął. Długo naradzano się, co robić ze śmieciem; co roku pojawiają się nowe projekty, mające na celu oczyszczenie miasta, ale projekt projektem a śmiecie śmieciem. Nareszcie w zeszłym tygodniu przyszła Rada miasta na genialną myśl. Powiedziała sobie, że jeśli już w żaden sposób nie da się śmieci uprzątnąć, to należy je zalepić.

Oblepi się całe miasto asfaltem, a śmiecia z pod asfaltu nie będzie wcale widać. Na asfalcie będzie można na nowo śmiecić. **Ta przebiegła uchwała** Rady miejskiej spotkała się wszędzie z entuzyastycznem przyjęciem.

Ludzie z zachwytu wyrzucają teraz przez okno na ulicę wszystko, co im nie jest potrzebne: kalosze, afisze, szelki, stare książki, kapelusze damskie, cylindry, majtki i inne rzeczy z gospodarstwa domowego. Za tysiąc lat jakiś archeolog, grzebiąc we Lwowie, wygrzebie to wszystko, złoży w muzeum i napisze znakomite dzieło pt.: „Lwów w XX stuleciu“.

* * *

Mimo to bawią u nas Mieczysław Frenkel i Sigrid Arnoldson na gościnnych występach. O Frenklu napiszę w najbliższym liście. O Arnoldsonie, jako niefachowy muzyk, mogę tylko tyle powiedzieć, że śpiewa bajecznie i podoba się wszystkim bardzo.

Kl.

Kącik humorystyczny.

W biurze policyi.

Dama. Proszę pana komisarza, przyszłam się też dowiedzieć, czy kanarek jaki mi uciekł, nie znalazł się przypadkiem?

Komisarz (wołając na agenta): Panie Łapka! Czy kanarek, który uciekł tej pani, został już aresztowany!

Na tandecie.

Tandeciarz Rosenberg (do odbiorcy cicho). Między nami mówiąc, ja panu to ubranie sprzedam za 25 koron.

Odbiorca. Za 25 koron? I czemu pan to mówi tak cicho.

Rosenberg. Pst! Mój brat, co stoi tu obok, ma wadę sercową, a jak on usłyszy, że ja panu to ubranie tak tanio sprzedaję, to jego może z żalu szlag trafić.

Chrzest.

Gedalje Leberfett przychodzi do barona X. z wekslem.

— Przepraszam jaśnie pana barona, ali cy pan baron nie będzie łaskaw ten weksel zapłacić.

— Takiemu żydowi — mówi baron — ja nic nie płacę!

— Nu nu — mówi Gedalje — to ja jutro przyjdę jako katolik.

Ferdynand Feldman.

We wtorek rozpoczął w krakowskim teatrze gościnne występy p. Feldman, artysta lwowskiego teatru, ulubieniec lwowskiej publiczności.

Ciekawy to artysta. Przylepiono do niego markę komika i za komika mają go wszędzie. Feldman jest komikiem, to prawda, ale nie mieści się on bez reszty w ramkach ról komicznych, a w repertuarze jego znajduje się cały szereg kreacyj i to kreacyj znakomitych, o podkładzie iście charakterystycznym. W artyście tym poza jego oficyalnym zakresem działania, poza niedoścignionymi portretami poczciwych safandułów mieszczańskich, komicznych bankierów i fabrykantów, ograniczonych szlagonów i poczciwych kapelanów (Pater Bentivoglio w „Odrodzeniu“), tkwią struny o zupełnie innem napięciu i innej naturze, struny, drgające najczystszym, najsubtelniejszym tonem. Jednem słowem Feldman jest pierwszorzędnym komikiem, w którym jednak spoczywa bogaty podkład charakterystyczny. To tłómaczy, że Feldman tak samo doskonale gra Bentivoglia w „Odrodzeniu“, jak Bosa w „Nadziei“ lub Bezsiemionowa w „Mieszczanach“.

Jeżeli chodzi o charakterystykę Feldmana, to można ją streścić w słowach: aktor cudownie pomysłowy, artysta z Bożej łaski.

Bo też Feldman ma do pokazania coraz to nową, inną twarz duchową i fizyczną. W klasykach naszej komedyi: Fredrze, Korzeniowskim, Blizińskim skupia w sobie Feldman wszystkie charakterystyczne cechy zamarłego świata szlachetczyzny i żołnierszczyzny, w Bałuckim, Przybylskim, w dziełach polskich, niemieckich i francuskich farsistów zdobywa się na humor, t. zw. „płaski“, zadziwiając zawsze bajecznym zapasem świeżych i coraz to nowych sposobów i sposobików rozbawienia słuchacza. Z taką samą maestryą i precyzyą odtwarza Feldman arcysubtelnie człowieka nowożytnego o duszy złożonej i skomplikowanej (Bos w „Nadziei“).

Jaki u Feldmana jest zapas humoru, jak ten artysta zdoła tworzyć wiecznie nowe, wiecznie świeże postacie i każdą w inne uposażyć talenty, o tem wiedzą najlepiej Lwowianie, dla których Feldman jest tem, czem dla Warszawiaków Frenkiel. Trzeba jeszcze dodać, że Feldman równie dobrze jak w „Nadziei“ lub w „Mieszczanach“ grał także w — operetce. W „Nitouche“ z roli kapelana stworzył istne arcydzieło humoru i pomysłowości aktorskiej. Był też długi czas reżyserem operetki we Lwowie.

Gościnne występy rozpoczął Feldman w Krakowie rolą Fromentela w „Safandułach“ Moliera. Owacyjne oklaski, wieńce i kwiaty były dowodem uznania, jakiem go obdarzył Kraków po długiem niewidzeniu. W dalszym ciągu jego występów zapowiedziany jest: „Pan Damazy“, „Mieszczanie“. „Marsylianka“ i „Nadzieja“.

jr.



Ferdynand Feldman.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłomaczył z języka francuskiego K. W.

I.

W roku 1874 był jeszcze w pobliżu kościoła Notre-Dame w Paryżu stary szpital, zwany „Hotel-Dieu“, dziś już zburzony. Było odwiecznym zwyczajem, że zgromadzały się przed nim spore zastępy ciekawych w tym czasie, w którym chorych przyjmowano. Stało się to pewnego rodzaju widowiskiem, na które spoglądano z okien przyległych domów; niekiedy nawet i mieszkańcy szpitala wychylali się zaciekawieni z okien i czynili różne obserwacye.

Pewnego pięknego dnia na wiosnę, gdy złocista pogoda rozsiadła się nad Paryżem, spoglądało z okien szpitala dwóch ludzi na to zwykłe zbiegowisko. Młodszy, z fajką w ustach, mający piękne, duże czarne oczy, tkwiące w twarzy cokolwiek bladej, mężczyzna niepospolitej urody, nazywał się Eduard Daubrac i był lekarzem-asystentem w szpitalu. Drugi, znacznie starszy, liczący już około czterdziestu lat, był bardzo szczupły, twarz miał kościstą, zapadłą, wąsy olbrzymie, oczy rozmarzone, postawę żołnierską. Był to baron Mederie-Avens-Conan de Meriadec.

Mimo różnicy wieku byli ze sobą w bardzo serdecznej przyjaźni, jakby dla stwierdzenia tego, że często przeciwne usposobienia, najchętniej z sobą się kojarzą, ażeby wzajemnie się uzupełniać. Dr. Eduard Daubrac — pochodził z Gaskonii i posiadał też właściwą Gaskończykom dobroć serca i skłonność do idealizmu. Baron de Meriadec pochodził z Bretanii, miał też usposobienie prawdziwego Bretończyka, rycerskie, nieco zawadyackie i podobanie w szukaniu przygód. Jeszcze w czasach akademickich zwali go koledzy bretańskim Don-Kichotem.

Spoglądali przez okno, rozmawiając swobodnie, bo doktor Daubrac miał właśnie czas niczem nie zajęty i wypoczywał po mozolnych trudach, jakich zwykle doznaje asystent lekarski w szpitalu.

— Patrz no Meriadec, — rzekł Daubrac, — widzisz tam anioła z pod wielkiego dzwonu? Skąd ona wraca? A, pewnie kupowała kwiaty, bo oto niesie wiązankę fiołków.

— Któryż to ten anioł? Czy to może ta dziewczyna co zdąża ku kościołowi, — zapytał Meriadec.

— Ma na plecach zarzuconą chustkę szkocką, a na głowie — koronkową. Urocza blondynka. Przypatrz jej się dobrze, czy widziałeś w swojej Bretanii — taką cudowną twarzyczkę?

Meriadec ujął lornetę teatralną, którą zawsze przy sobie nosił — zawieszoną na rzemieniu, jak podróżujący Anglik, skierował ją ku dziewczynie, a potem rzekł:

— Istotnie, urocze stworzenie. Dlaczego nazywasz ją aniołem z pod wielkiego dzwonu?

— Powszechnie ją tak nazywają, dlatego, że jej ojciec jest strażnikiem na wieży Notre Dame.

— Czy ona cię bardzo zajmuje?

— Nie przeczę.

— Może masz jakie zamiary?

— Gdybym jakie mógł powziąć, to tylko poważne i uczciwe.

— A czyżby na to zasługiwała?

— Jestem tego pewien. Jest piękna, ma lat dziewiętnaście, uboga, a jednak na prawdę, istotnie, skromna i uczciwa.

— O, widzę, że starałeś się ją poznać.

— Nie przeczę. Miałem sposobność widzieć ją tu w szpitalu, gdy przychodziła pielęgnować swoją matkę, która niestety umarła. Dowiedziałem się, że właściwie swoją pracą utrzymuje ojca i siebie. Ojciec pobiera wprawdzie wystarczającą płacę, ale po śmierci żony popadł w taki ciężki żal, że się rozpił zupełnie i wszystkie swe dochody przepija. Córka wyrabia sztuczne kwiaty i z tego płynie właściwie jedyny fundusz na utrzymanie obojga.

— Czy ona także mieszka na wieży z ojcem?

— A, tak. I to na wysokości, do której trzeba się spinać po kilkuset schodach. Mieszkanie tam takie, że każdy z nas po 48 godzinach dostałby w niem obłędu, albo zostałby samobójcą, a ona wesoła zawsze, pogodna, śpiewa w tej norze, jak wesoły skowronek.

Dziewczyna skręciła w ulicę — poza kościół i znikła im z oczu.

— Co za szkoda — rzekł baron, — że jej się dłużej przypatrzeć nie mogłem.

— Założyłbym się — odpowiedział doktor, — że cię w tej chwili zbiera ochota pogonić za nią, czuwać, aby jej ktoś nie zaczepił i w razie potrzeby stanąć po rycersku w jej obronie.

— Nie byłoby w tem nic dziwnego, zwłaszcza po tem, co o niej powiedziałeś. Takie młode dziewczę może istotnie stać się pastwą natrętnego niegodziwca. Nie jestem wcale świętoszkiem, jednak oburza mnie zawsze niegodziwość tych drapieżników, co bez sumienia i rozwagi łamią życie takim niewinnym istotom. Śmiejecie się nieraz ze mnie, że poświęcam tyle czasu na wyszukiwanie sposobności, żeby ochraniać biedne dziewczęta od niebezpiecznych napaści, a jednak jakie to miłe! Powiem ci szczerze, że tem przeważnie wypełniam sobie życie. Może to ideał za drobny, ale przecież ideał.

— Ja chyba nigdy się z ciebie nie śmiałem, bo zgadzam się najzupełniej na to, że człowiek, co w jakikolwiekbądź sposób wkrada, się czy to w serce kobiety, czy tylko w jej nerwy — po to jedynie, aby zaspokoić chwilową żądzę, jest zwykłym rzezimieszkiem. Ta między nimi różnica, że jeden wyrywa ci złoty zegarek z kieszeni i pugilares z pieniądzmi, a drugi cnotę, a może i szczęście całego życia. Który z nich większym jest zbrodniarzem? Za zrabowanie zegarka zyskuje się piętno złodzieja i karę więzienia, a niestety za złamanie życia niekiedy całej rodzinie, zyskuje się rozgłos bohatera. Ale o anioła z pod dzwonu możemy być spokojni. Tyle w tem dziewczęciu charakteru, tyle energii, że obejdzie się bez rycerskiej obrony.

Jak w kalejdoskopie nabierał ruch uliczny coraz innych kształtów, coraz innego zabarwienia. Zmieniały się też gromady ciekawych, wyczekujących pod szpitalem. Obaj przyjaciele wciąż z zajęciem przypatrywali się temu ruchowi.

— Patrz, patrz, — rzekł doktor, jakaś młoda para zdąża ku kościołowi. To niezawodnie para bardzo zakochana, a kryjąca się z miłością.

— Skądże takie przypuszczenie?

— Ależ Don-Kiszocie kochany, jesteś przecież znakomitym obserwatorem, więc powinienbyś sam rzecz odgadnąć. Przypatrz że się. Ona zakryta niebieskim welonem tak gęstym, że jej twarzy wcale poznać nie można, przytem widoczna jest jakaś bojaźliwość w jej chodzie i zachowaniu się, a to dowodzi, że pragnie, aby jej nie poznano. On nasunął kapelusz na oczy, opuścił głowę na dół, jakgdyby unikał wejrzenia ludzkiego, co znowu dowodzi, że ma nieczyste sumienie i że jego stosunek z tą damą jest owocem zakazanym.

— Doskonałe spostrzeżenia. Gdybyś nie był znakomitym lekarzem, mógłbyś zostać niepospolitym detektywem.

— To nie koniec. Przypatrz się. jak idą z niejakiem wahaniem, jakgdyby nie byli zdecydowani, gdzie szukać spokojnego kącika dla miłosnej schadzki. Należą też oboje do najlepszego towarzystwa, o czem świadczą ich dystyngowane ruchy i wykwintne ubranie. Oto skręcili już w uliczkę poza kościół. Może szukają na wieży spokojnego sam na sam.

— O to byłoby wcale oryginalne.

— Nie tak bardzo, jak ci się zdaje. Miałem już nieraz sposobność, czynić podobne spostrzeżenia; niema prawie dnia, żeby jakaś erotyczna para nie wspinała się w te wysokie przestworza. Wyobraź sobie — jak to musi być poetycznie, spoglądać z takiej wysokości na tłum uliczny, a być niewidzianym i wyobrażać sobie, że się buja z ukochaną na skrzydłach miłości — daleko od ziemi, a bliżej słonecznych blasków.

— A więc lornetę w górę. Jeszcze nie widać nikogo.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Złapali się...

Obrazek amerykański.

— Posłuchaj John — mówił Jimmy do swego serdecznego przyjaciela — i powiedz mi czy jesteś zadowolony i szczęśliwy?

— Ja? — tu John skrzywił się, jak gdyby wypił szklankę octu. — Zadowolony, szczęśliwy? Jako telegrafista pobierający sto dolarów na miesiąc?.... Tak, do szczęścia brakuje mi wiele rzeczy, a przedewszystkiem pieniędzy!

— To jest także moje zapatrywanie—posępnie potwierdził Jimmy. — Przy tem trzeba pamiętać, że my obaj, jako doświadczeni telegrafiści, otrzymujemy możliwie największą gażę. Po dziesięciu latach, gdy nasze stawy w rękach będą już nie tak giętkie, jak dzisiaj, nie znajdzie się już towarzystwo telegrafistów, któreby zapłaciłoby nam po sto dolarów miesięcznie. Z pewnością się nie znajdzie!

— Oczywiście — zauważył John—ale do czego właściwie zdążasz?

— John! — odparł jego przyjaciel — jesteś niezawodnie dobrym chłopcem, lecz brakuje ci sprytu i daru obserwacyi. Komu zachciewa się w naszej sławnej ojczyźnie zdobyć pieniądze, ten musi dobrze oczy otwierać.... Już dwa lata pracujemy w tem samym biurze, a tobie nawet na myśl nie przyszło dowiedzieć się, jakie ma znaczenie ten drut, który wisi przed naszemi oknami.

— Bah, Jimmy, co mnie ten drut obchodzi! Widzę dosyć drutów w naszem biurze, więc wcale mi nie przyszło do głowy zastanawiać się nad tem, co znaczy ów drut, wiszący przed oknami. Zresztą, jestto prawdopodobnie drut, który jest czyjaś prywatną własnością, bo założono go osobno, a nie razem z innymi drutami.

— Bardzo słusznie mój chłopcze! Dobrze iż przynajmniej choć tyle zauważyłeś.... Pozwól, że ci teraz coś opowiem. Kilka dni temu poszedłem na przechadzkę i o tak, z ciekawości, postanowiłem się przekonać dokąd ów drut prowadzi. Musiałem dobrze uważać, ale w końcu doszedłem (tu zatarł sobie ręce z zadowoleniem). Ten drut prywatny prowadzi prosto do biura zakładów wyścigowych pod firmą „Myers, Smidt & Co“.

— Więc cóż z tego?....

— Przyjacielu, ależ ty masz tępą głowę! Nie grałeś nigdy w totalizatora? Czyż naprawdę nie wiedziałbyś, jak jest zorganizowaną służba w podobnych wypadkach? Właściwie jako telegrafista powinieneś się znać na tem!

— Naturalnie, że wiem — mruknął John. — Takie biura mają swe własne druty, prowadzące wprost do najgłówniejszych placów wyścigowych, skąd ich ajenci donoszą im natychmiast o wyniku każdego biegu. W ten sposób owe biura wiedzą wcześniej, niż ktokolwiek inny, o każdym wyniku i mogą do ostatniej chwili przyjmować zakłady..... Tak, tak.... to rzecz jasna ale co nas to może obchodzić.....

— Hm! My jesteśmy telegrafistami. Zawieszono nam ten drut, że tak powiem przed samym nosem. Jestto jakby wskazówka z góry. Łączymy się z nim, ustawiwszy dwa aparaty. Na jednym z nich odbieramy depeszę z wynikiem biegów i w ten sposób jesteśmy o nim wcześniej powiadomieni, niż biuro, wiemy wcześniej, który koń zwyciężył. Na drugim aparacie podajemy o dziesięć minut później depeszę dalej. To jest ty sam to załatwisz, bo druh i twój i kolega Jimmy, biegnie, co sił starczy, do biura zakładów i wygrywa górę złota, postawiwszy na zwycięskiego konia! Well?

Do stu piorunów! — wykrzyknął zachwycony John. — To interes pewny. Jednak jeżeli nas na tem złapią?....

— Po pierwsze nie złapią nas, a po drugie, wiesz przecie, że władze zaledwie tolerują istnienie biur podobnych. Więc, gdyby nawet panom „Myers, Smith & Co“ wydała się nasza wygrana podejrzaną, to raczej będą milczeli, niż podnosili o nią hałas.

Jimmy na chwilę zamilkł.

— Nie jest wprawdzie interes bardzo czysty— dodał po namyśle.

— Ale zyskowny!

— Hm....

— Życie jest tak ciężkie!

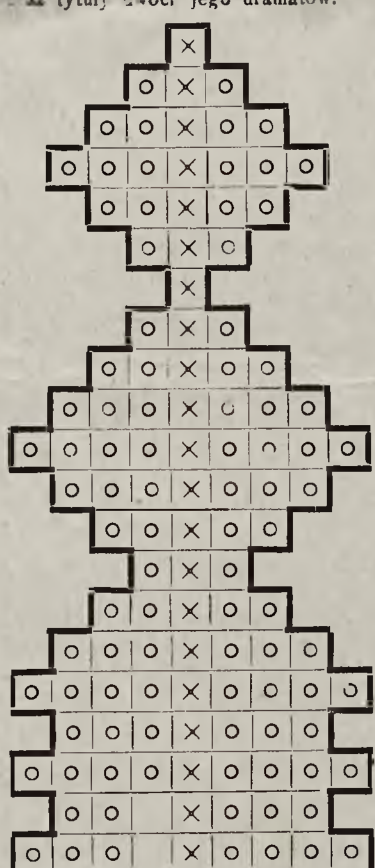
— Głupiec, kto nie stara się uczynić je lżejszem....

(Dokończenie nastąpi).

Logogryf

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Zamiast krzyżyków i kółek wstawić litery tak, aby środkowe, z góry na dół czytane, dały imię i nazwisko słynnego dramaturga, oraz tytuły dwóch jego dramatów.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Syn Noego 3 Starorzymska moneta. 4. Inaczej naboje. 5 Bachantka grecka 6. Inaczej narty. 7. Samogłoska. 8. Rodzaj ubrania bez rękawów u wschodnich narodów 9 Pierwiastek chemiczny. 10. Kraj w Europie. 11. Kraj w Ameryce północnej. 12. Inaczej mała rzeczka, potok. 13 Gatunek broni. 14. Rzeka w Afryce 15. Zb że. 16. N mietnik w Persyi. 17. Góry w Ameryce. 18. Miasto w Hiszpanii. 19. Instrument muzyczny. 20. Jadalna małża. 21. Imię żeńskie — dramat Słowackiego.

Za dobre rozwiazanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy bombonierkę z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 20.

Arytmogryf.

B buk, Kreta. Gr nad . Jabłowicz, **Buenos Aires**, młocarnia, Juliusz, harfa, mer s.

Buenos Aires.

Logogryf.

T, lew, złoto, Kordyan, czekolada, papryka, mnich, len, s, ski T eny, Chochoł, Scych lle, sirokko, Stanisław, opuńcza, Transwaal, podkowa, Apolinary, Sorbona, Włocławek, baryton, Celestyna, Tonking, Kartagena, Gerwacy, Dalailama, dracena, Turkestan.

Teodor Jeske Choiński, Błyskawice.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: M. Świtlikowa Rzeszów, P. Drzewiecka Lwów, H. Graderowa Jaremcze, B. Ramułtowa Jeżów, F Niepokój Krosno, Towarzystwo »Zgoda« Krosno, A. Rodek Cieszyn, H. Kowalski Mogiła.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. Rodek Cieszyn, prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).